Dziś w numerze: Problem „Milenium" na warsztacie historyka ● Koncert ludowy w Albert Hall ● Jaką ongiś byłam... ● Garść wspomnień o Stanisławie Mackiewiczu ● Jak zdobyć piękne brylanty? ● Recenzje ● Felietony

odgłosu

Nr 16 (378)
24. IV. 1966 r.
10 stron
Cena 1 zł.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX

BOLESŁAW ŻARNICKI

MALI LUDZIE DO WIELKICH INTERESÓW

Proces ten jeszcze nie odbył się, chociaż śledztwo zostało dawno zakończone, ba, wygotowany już nawet jest akt oskarżenia. I jeśli dotychczas bohaterowie tego procesu nie zasiedli jeszcze na ławie oskarżonych, to jedynie dlatego, że nie wszyscy świadkowie mogli na czas stawić się na sali sądowej. Niektórzy z nich, i z tymi właśnie świadkami był kłopot, rzeczywiście mieli daleko do Łodzi, bo mieszkają stale w Szwajcarii, w pięknym mieście — Bazylei.

TRZEJ PANOWIE PODEJMUJĄ ZOBOWIĄZANIE

Ale w Bazylei jest nie tylko Kunstmuseum i słynna, podziwiana przez wiele pokoleń turystów, katedra romańska... Bazylea to również siedziba wielkich koncernów przemysłowych, na przykład znanych firm farmaceutyczno-chemicznych jak: „Ciba", „Sandóz", „Geigy" czy „Durand et Hugein". Bazyleę i Łódź łączy pewna, można by powiedzieć, kolorowa więź: barwniki. Bazylea je produkuje i sprzedaje, Łódź kupuje i koloruje nimi co cenniejsze tkaniny, które wymagają wysokiej jakości barwników.

Życie jest jednak okrutne dla akcjonariuszy „Sandoza" czy „Ciby", bowiem świat barwników nie ogranicza się jedynie do pięknego miasta Bazylei. Nie dość, że szwajcarskie koncerny toczą ze sobą zażartą walkę, to muszą jeszcze stawić czoła zagranicznej konkurencji. Poza Szwajcarią wysokiej jakości barwniki produkuje jeszcze niemiecki „Bayer" i „Hoechst", francuski „Francolor" czy włoska ACNO, żeby wymienić tylko najbardziej znane na rynkach europejskich firmy. Tak zwana walka o rynki zbytu nie jest, jak to być może sądzą niektórzy, wymysłem li tylko marksistów, wspomniane firmy, chociaż powiązane licznymi więzami porozumień kartelowych toczą ze sobą zażarte boje o każdego, najmniejszego nawet odbiorcę barwników. A Łódź i w ogóle polski przemysł włókienniczy, czy skórzany wcale nie jest znowu takim małym rynkiem zbytu, stąd zjeżdżali do nas producenci z Bazylei, z Leverkusen od „Bayera", z Frankfurtu nad Menem od „Hoechsta", z Francji czy też z Włoch.

Polska, reprezentowana w tym wypadku przez Centralę Handlu Zagranicznego „Ciech", jest oczywiście zainteresowana by kupić najlepsze i jednocześnie po najniższych cenach barwniki. Spotykaliśmy się jednak na ogół z cenami jednolitymi (o wyjątkach będzie jeszcze mowa), a że wyroby wszystkich tych znakomitych firm cieszyły się jednakowo dobrą opinią, stąd też w zasadzie było obojętne, czy będziemy sprowadzać barwniki „Sandoza" czy „Hoechsta". Polska nie jest oczywiście zainteresowana w popieraniu jednego koncernu kapitalistycznego i chcąc utrzymać dobre stosunki handlowe ze wszystkimi krajami macierzystymi firm chemiczno-farmaceutycznych staraliśmy się równomiernie lokować zamówienia na barwniki, nikogo nie dyskryminować, ale też specjalnie nie popierać. Gdyby ktoś jednak przeanalizował — zrobiono to w końcu, niestety dość późno, geografię zamówień „Ciechu" na barwniki, łatwo by spostrzegł, że handlujemy przede wszystkim z „Sandozem", „Francolorem", „Bayerem" i firmą „Durand et Hugein", dyskryminując w widoczny sposób pozostałe koncerny farmaceutyczno-chemiczne.

Formalnie umowę o dostawę barwników zawiera CHZ „Ciech" w Warszawie, faktycznie jednak decydujący głos miała komisja barwnikarska działająca przy Zjednoczeniu Przemysłu Lekkiego w Łodzi. W skład tej komisji wchodziło trzech panów: Józef Zysman — st. inspektor MPL, Władysław Jasionowicz — zastępca naczelnika wykończalń Zjednoczenia Przemysłu Bawełnianego oraz Bolesław Tarchalski — zastępca dyrektora do spraw wykończalń Centralnego Laboratorium Przemysłu Bawełnianego w Łodzi. Gdzieś tak pod koniec roku 1956 ci właśnie trzej panowie, wykorzystując zapewne cenne wiadomości dotyczące walki koncernów kapitalistycznych o podział rynków zbytu, podejmują następujące zobowiązanie: nie wydamy pozytywnej opinii o jakimkolwiek zagranicznym barwniku dopóki eksportująca firma nie zgodzi się na wypłacanie nam prowizji. Nazwali to „prowizją", bo przecież „łapówka" to bardzo brzydkie słowo...

DLACZEGO WYBUCHŁA BURZA U „HOECHSTA"

W czerwcu 1956 roku przyjechał do Polski na Targi Poznańskie pan Theophil Thommen z Bazylei, prokurent firmy „Sandoz". Tam właśnie w Poznaniu spotkał się z Józefem Zysmanem, który poinformował go o „uchwale", jaką podjęli członkowie komisji barwnikarskiej.

10 procent od obrotów wydawało się jednak Szwajcarowi zbyt wygórowanym żądaniem, dlatego w zasadzie przyjął propozycję Polaków, uzależniając jedynie wysokość prowizji od opinii dyrekcji „Sandoza". Theophil Thommen, gdy bawił następnym razem w Polsce, poinformował Józefa Zysmana, że dyrekcja „Sandoza" zgadza się na wypłacanie prowizji, ale jedynie w wysokości 1 proc. od globalnych obrotów. Gdy Józef Zysman zaczął się targować, Szwajcar znalazł proste wyjście z sytuacji: zwiększycie obroty, to i prowizja będzie większa... Pan Thommen wiedział jednak, że nie wszystko zależy od Józefa Zysmana i jako ostrożny człowiek interesu zażądał spotkania z pozostałymi członkami komisji barwnikarskiej. Odbyło się ono w restauracji „Malinowa" w Łodzi, gdzie dokładnie omówiono sposób w jaki „Sandoz" będzie przekazywał pieniądze z tytułu „prowizji". Otóż Józef Zysman otworzył sobie w tym celu konto w jednym z banków szwajcarskich i zażądał, by „Sandoz" należne kwoty tam lokował na jego koncie, Władysław Jasionowicz obdarzył zaufaniem swojego wspólnika i prosił, by pieniądze przekazywano na jego konto bankowe, natomiast Bolesław Tarchalski postanowił lokować swoje odsetki na prywatnym rachunku w firmie „Sandoz".

Podział ról między wspólnikami był następujący: Józef Zysman miał utrzymywać kontakty z prokurentami firm zagranicznych, Władysław Jasionowicz składał zamówienia na barwniki w tych firmach, które zgadzają się na wypłacanie „prowizji", a Bolesław Tarchalski jako przedstawiciel Centralnego Laboratorium Przemysłu Bawełnianego po prostu nie zgłaszał nigdy sprzeciwu wobec kontraktów zawieranych z „rodziną". Przez „rodzinę" trzej panowie rozumieli prokurentów zagranicznych, z którymi łączyła ich znana nam już umowa i tak ich określali w zaszyfrowanej, o czym jeszcze będzie mowa, korespondencji.

Tak wypracowany system zaczął grać. Wiadomo już dzisiaj, że na przykład od roku 1956 do 1961 prokurent Thommen przekazał Józefowi Zysmanowi do podziału między pozostałych wspólników 27 tys. 813 franków szwajcarskich, które to pieniądze w znacznej części zostały ulokowane w bankach Bazylei i Lucerny.

Podobne umowy co z „Sandozem" Józef Zysman, oczywiście również w imieniu pozostałych partnerów, zawarł z prokurentami „Francoloru", „Bayera" i „Durand et Hugein".

Pan Thommen zdawał sobie jednak doskonale sprawę, że przekupienie członków komisji barwnikarskiej nie gwarantuje mu jeszcze monopolistycznej pozycji na rynku polskim. Byłoby tak, gdyby rzeczywiście wszystkie firmy — jak to przewidują porozumienia kartelowe — oferowały barwniki po identycznych cenach. Pan Thommen znał jednak życie i wiedział, że bardzo często poszczególne firmy wyłamują się z porozumień kartelowych i dla zdobycia rynku, w głębokiej tajemnicy przed konkurencyjnymi firmami, oferują niższe ceny. Cóż więc z tego, że komisja barwnikarska pozytywnie zaopiniuje jakość barwników, które on oferuje, gdy i tak Centrala Handlu Zagranicznego „Ciech" pod-

Dalszy ciąg na str. 4

ŚWIATA

A więc gen. Ky udało się pozostać u władzy. Przynajmniej na razie. Dekret sajgońskiego szefa państwa — Nguyen Van Thieu o przeprowadzeniu wyborów w ciągu 3—5 miesięcy i oficjalna obietnica rządu, że ustąpi w chwili, gdy wybrane zostanie zgromadzenie narodowe — wpłynęło na decyzję przywódców ruchu buddyjskiego. Ogłosili oni rozejm w walce przeciwko juncie wojskowej. Uwarunkowali to jednak niepodejmowaniem przez reżim Ky jakichkolwiek represji wobec uczestników ostatnich demonstracji oraz dotrzymaniem słowa w sprawie terminu wyborów.

Proklamowany przez buddystów rozejm nie oznacza wcale, że w południowym Wietnamie ustały demonstracje. Ludność w dalszym ciągu żąda ustąpienia Ky. Nie zmieniła tonu wypowiedzi także rozgłośnia w Hue, która w chwili, gdy przygotowuję komentarz do druku, w dalszym ciągu opanowana jest przez dwie główne siły, organizujące demonstracje: studentów i buddystów. Kryzys więc trwa...

Polityczne koła Stanów Zjednoczonych natychmiast dostosowały się do nowej sytuacji. Nasilające się tuż przed rozejmem głosy o ustąpieniu Ky — przycichły i obecnie podkreśla się konieczność możliwie szybkiego rozpisania wyborów. Oczywiście pod kontrolą junty, co miałoby przesądzić o ich wyniku.

Nie zmniejsza to jednak porażki Waszyngtonu. A że administracja Johnsona odwraca zawsze uwagę od swoich niepowodzeń nasilaniem działań wojennych — do akcji przeciwko Demokratycznej Republice Wietnamu wprowadzono ciężkie bombowce B-52. Nie można tego traktować inaczej, niż tylko jako nową eskalację.

Równocześnie McNamara uznał za słuszne „pochwalić się", że lotnictwo USA zrzuciło w marcu na obie części Wietnamu 50 tys. ton bomb, to znaczy trzykrotnie więcej niż w którymkolwiek miesiącu wojny koreańskiej. Zapowiedział także, że łącznie w br. zamierza się użyć w operacjach ponad 600 tys. ton bomb, co — jak wyliczył — stanowiłoby 91 proc. tonażu z 37 miesięcy wojny koreańskiej.

McNamara „chełpi się" tymi liczbami, ale zapomina, że jednocześnie mogą być i są na świecie komentowane nie jako liczby amerykańskiej potęgi, lecz amerykańskiej bezsiły. Bo przecież — co przyznają sami Amerykanie — nie poprawiło to w niczym ich pozycji militarnej w Wietnamie. A skutki polityczne? Mówi o nich komentator „Christian Science Monitor" słowami: „W wyniku amerykańskiej akcji wojskowej baza polityczna w Wietnamie stale słabnie". Wykazały to zresztą południowowietnamskie demonstracje.

W polu zainteresowania opinii publicznej w dalszym ciągu utrzymuje się Francja. Właśnie w Zgromadzeniu Narodowym toczyła się dyskusja na temat polityki międzynarodowej Francji. Stany Zjednoczone z datą debaty zsynchronizowały swą odpowiedź na terminy zgłoszone przez Paryż w sprawie wycofania się ze struktury militarnej NATO. Publicyści nie bez powodu podejrzewają, że taktyka była tutaj wyraźna: zaapelować do „rozsądku" Francuzów poza plecami de Gaulle'a, wpłynąć na przebieg dyskusji w parlamencie.

Debata rzeczywiście była dość burzliwa, w niczym jednak nie zmieniła stanowiska Francji. Korespondenci waszyngtońscy musieli natomiast odnotować słowa premiera Pompidou, który stwierdził, iż Stany Zjednoczone jeszcze przekonają się, że de Gaulle miał rację występując z NATO i — zacytujmy — „złożą mu hołd jako dalekowzrocznemu przywódcy".

Na razie jednak zirytowany Waszyngton wysuwa w odpowiedzi na notę francuską „argumenty prawne", gra więc wyraźnie na zwłokę i chce opóźnić realizację zamierzeń Francji. Równocześnie nalega podobno na W. Brytanię i NRF, by zajęły wobec Paryża jeszcze bardziej sztywne stanowisko niż same Stany Zjednoczone. Zawsze to przecież wygodniej powoływać się na zdecydowanie sojuszników...

Fala spekulacji co do przyszłości NATO w związku z decyzjami Francji nie ustaje. Nie miejsce tu na ich odnotowywanie. Jeśli na coś chciałbym zwrócić uwagę Czytelników — to na uderzający w niektórych komentarzach zachodnich czas przeszły, kiedy mówi się o NATO.

Skoro już mowa o spekulacjach — wiele domysłów budzi na Zachodzie zapowiedziana wizyta min. Gromyki we Włoszech. Przewiduje się podjęcie w rozmowach aktualnych problemów międzynarodowych. Niektóre pisma, a wśród nich i włoski „Il Messaggero", mówią o możliwości spotkania się radzieckiego ministra z papieżem. Wspomniany dziennik przypomina list Pawła VI w sprawie wietnamskiej i pozytywną na niego odpowiedź ZSRR. Artykuł, jak donoszą korespondenci z Rzymu, inspirowany był przez Watykan.

I jeszcze jedna uwaga: na Irak. Tragiczna śmierć w wyniku katastrofy, prezydenta Arefa może spowodować ostrą walkę polityczną o sukcesję po nim. Aref był bliski Naserowi i obaj dążyli do unii swych krajów. Te koncepcje w Iraku miały także licznych przeciwników. Kto wie, czy nie zechcą oni podjąć teraz aktywnego działania.

W. SŁAWSKI

Kronika tygodnia

● Komentatorzy prasy zachodniej w nawiązaniach do odpowiedzi Waszyngtonu na memorandum francuskie w sprawie wycofania amerykańskich instalacji i jednostek wojskowych z terytorium Francji, zwracają uwagę, iż Stany Zjednoczone starają się grać na zwłokę. Waszyngton liczy bowiem na możliwość wzrostu we Francji opozycji wobec polityki de Gaulle'a, lub na jego zejście ze sceny politycznej.

● Jugosłowiański miesięcznik „Socijalizm" stwierdza, że realizacja wprowadzanych reform gospodarczych przyczyniła się do dalszej demokratyzacji w podejmowaniu decyzji w organizacjach pracy i gminach. Żadne naciski subiektywne, krytyka, czy też kampanie — pisze „Socijalizm" nie mogły doprowadzić do takiego wzrostu aktywności, świadomości i inicjatywy jak ten, który nastąpił w wyniku wprowadzonej reformy.

● Zapowiedź wizyty ministra Gromyki we Włoszech wywołała żywe echo w prasie zachodniej. Zwraca się uwagę na zacieśniające się kontakty gospodarcze włoskich firm przemysłowych z centralami handlowymi ZSRR. Niebawem spodziewana jest finalizacja porozumienia handlowego w Turynie, które będzie największym, jakie Związek Radziecki zawarł do tej pory na rynkach zachodnich. W grę wchodzi między innymi budowa wielkiej fabryki samochodów osobowych.

● Od 9 bm. obowiązuje w NRD pięciodniowy tydzień pracy co dwa tygodnie. Jednocześnie skrócono 3 milionom pracowników tydzień pracy z 48 na 45 godzin. Łącznie skrócono czas pracy zatrudnionych o 535 milionów godzin rocznie, co odpowiada zatrudnieniu 250 tysięcy osób na pełnym etacie. Podkreślić należy, że decyzje powyższe podjęto w warunkach odczuwanego od kilku lat dotkliwego braku rąk roboczych.

● Dr Arthur Larsen, dyrektor Ośrodka Badań Prawnych na Duke University, wyraził pogląd, iż w epoce istnienia broni jądrowej konieczne staje się stosowanie naukowych metod przy rozwiązywaniu problemów międzynarodowych. W tym celu należałoby wyzbyć się wielu mitów politycznych, do których uczony zalicza m. in.: wyobrażenie, że Niemcy można by zjednoczyć w drodze wolnych wyborów; wyobrażenie, że Czang Kai-szek reprezentuje całe Chiny; wyobrażenie, że interwencja w Santo Domingo spowodowana została groźbą przejęcia władzy przez komunistów; wyobrażenie, że USA nie mogą rokować z Vietcongiem, lecz z Wietnamem Północnym.

● Na mocy porozumienia podpisanego w Belgradzie Stany Zjednoczone dostarczą Jugosławii 137 tysięcy bel bawełny oraz 35 tysięcy ton olejów jadalnych wartości około 28 milionów dolarów. Kredytu udzielono na 12 lat.

● Miesięcznik „Woprosy ekonomiki" zamieścił informację z przebiegu konferencji poświęconej problemom demograficznym w Azji Środkowej. Jeden z uczestników tej konferencji prof. Owsijenko zaproponował sformułowanie socjalistycznego prawa ludności. Oto jego brzmienie: osiągnięcie maksymalnej długowieczności przy najlepszych warunkach bytu.

● Odnaleziono tekst jedynej sztuki Franza Kafki „Lot wokół lampy". Sztuka wkrótce ma zostać wystawiona na scenie jednego z teatrów niemieckich. Napisana została w 1922 roku, a więc na dwa lata przed śmiercią pisarza. W swoim czasie jeden z teatrów praskich przełożył tekst sztuki z języka niemieckiego na idisz, lecz nigdy nie została ona wystawiona. Tekst oryginału nie został odnaleziony w związku z czym inscenizatorzy dokonają ponownego przekładu na język niemiecki.

Och, ty także nie masz swobodnych rąk...?

Gdy spada deszcz orderów nie widzi się w ogóle rozpiętych parasoli.
PETER SELLER — AKTOR

● W czasie ostatnich dwóch tygodni, 2—16 kwietnia, siedzibą kubańskiej Rady Ministrów stało się praktycznie niewielkie miasteczko Vertientes położone pośród plantacji trzciny cukrowej. Codziennie o piątej, lub najpóźniej o szóstej rano premier Fidel Castro, prezydent Dorticos i ministrowie rządu wychodzą z machetami na pobliskie plantacje. Jak donosi prasa hawańska, poszczególne brygady złożone z członków rządu, członków Komitetu Centralnego i pracowników ministerstw prowadzą między sobą zacięte współzawodnictwo.

● India odrzuciła oferowaną przez Izrael gotowość udzielenia jej pomocy w związku z odczuwanym przez ten kraj niedoborem środków żywnościowych. Decyzja rządu hinduskiego motywowana jest obawą przed pogorszeniem się w następstwie przyjęcia oferty Izraela stosunków ze światem arabskim.

● Przewodniczący Socjalistycznego Związku Ludu Pracującego Jugosławii, Lazar Kaliszewski, występując w telewizji belgradzkiej w ramach cotygodniowego programu pn. „Bieżące rozmowy", podkreślił konieczność bardziej konsekwentnego stosowania zasady rotacji „nie tylko w odniesieniu do składu zgromadzeń, lecz także do składu władz organizacji politycznych i społecznych". Jego zdaniem, zasada rotacji i ograniczenia ponownego wyboru powinny zapewnić ochronę „przed tendencjami biurokratycznymi, monopolizowaniem urzędów i uzurpowaniem praw samorządu".

● Według relacji pochodzącej z Singapuru b. wicepremier i minister spraw zagranicznych Indonezji dr Subandrio ma stanąć w następnym miesiącu przed trybunałem sądowym pod zarzutem zdrady stanu.

● Egipt jest następnym celem imperialistów i reakcjonistów — pisze w dzienniku Al Ahram czołowy publicysta egipski Heikal. Analizując ostatnie wydarzenia w Trzecim Świecie, Heikal pisze, że imperializm zrezygnował z pozycji defensywnej i rozpoczął zmasowany atak na frontach wojskowym, politycznym, gospodarczym i psychologicznym.

Czy rzeczywiście potrzeba do tego celu marynarki, sir? Nie byłoby taniej, gdybyśmy posłużyli się pocztą?
(London Daily Express)

Hasła i slogany — to dzieje świata w pigułkach.
NORMAN MAILER — PISARZ

● Frankfurter Rundschau: W porównaniu z postawionymi przed sobą celami polityka zagraniczna NRF doznała w ciągu ubiegłych 15 lat fiaska. Zjednoczenie kraju: stek pomyłek; integracja europejska: po początkowych sukcesach — odwrót; bezpieczeństwo przez NATO: zagrożone kryzysem; niemieckie propozycje prawne: w daleko idącym stopniu fikcyjne; autorytet w świecie: regres.

● W piśmie Stowarzyszenia Dentystów Brytyjskich, The Probe, zamieszczono informację, według której dentyści usuwają dzieciom w Anglii ponad 4 tony zębów rocznie. Ile z tych zębów — stwierdza periodyk — można byłoby uratować, gdyby dzieci posiadały wiedzę o elementarnych zasadach higieny.

● Chiński dziennik Żenminżipao tak charakteryzuje perspektywy rozwojowe sytuacji w świecie: Zasadniczą cechą sytuacji światowej jest to, że wiatr wschodni bierze górę nad wiatrem zachodnim. Nie oznacza to jednak, aby w tej znakomitej i sprzyjającej nam sytuacji nie natrafiano na przeszkody i chwilowe niepowodzenia... W niektórych krajach walka rewolucyjna cierpi na chwilowe niepowodzenia. Są to wydarzenia nie mogące powstrzymać fali światowej rewolucji, a jej stały rozwój jest podstawową cechą sytuacji międzynarodowej.

● Premier rasistowskiego rządu Rodezji Smith nazwał rezolucję Rady Bezpieczeństwa upoważniającą W. Brytanię do użycia siły celem przeciwdziałania dostarczaniu Rodezji ropy naftowej „żartem" Narodów Zjednoczonych. Na pytanie czy rafineria w Feruka będzie nadal zaopatrywana w ropę, Smith odparł: „Poczekamy, zobaczymy".

WIEMY, ŻE NIE WIEMY, CZYLI WARSZAWSKA DYSKUSJA

Kiedy wybitni publicyści z miasta stołecznego Warszawy zasiadają do dyskusji, kiedy tę dyskusję publikują, to nam tu, na prowincji, ludziom zwykłym, czerwienią się z emocji policzki. Cóż, jesteśmy sercem prości, my tak nie umiemy.

Warszawizm w formie, którą tak bardzo zachwyca się polska prowincja, polega w pierwszym rzędzie na specyficznym stylu, fasonie. Proszę zwrócić uwagę na zdjęcia zamieszczone w ostatnim numerze warszawskiej „Kultury". Ci wytworni gentlemani to właśnie nasi publicyści, dyskutujący o pornografii. Proszę popatrzeć uważnie na te krawaty, na cudowną grę twarzy i rąk, na Krzysztofa Teodora Toeplitza przy kieliszku, jakaż tu europejska gracja, ile wytwornej niedbałości i pewności siebie.

Warszawizm w treści cechuje przede wszystkim skromność. Ponieważ skromność występuje u wszystkich publicystów, dyskutujących o pornografii, mam poważne trudności z wyborem przykładu. Zdecydowałem się na Zygmunta Kałużyńskiego, on jest stanowczo najskromniejszy ze wszystkich, kiedy powiada: „Pozwolę sobie teraz powiedzieć, co pomyślałem, kiedy usłyszałem, że redakcja organizuje dzisiejszą dyskusję. Bo według mojej wiadomości, po raz pierwszy w obrębie naszego świata podobny temat został podjęty przez grupę intelektualistów lewicowych".

Jak się coś podobnego przeczyta, od razu człowiek wie, w jakim jest świecie. Nikt przedtem spośród lewicowych intelektualistów, oni pierwsi i jedyni w obrębie naszego świata, dyskutowali problem pornografii. Oczywiście, zawsze w takich wypadkach nasuwa się pytanie — a jak przedyskutowali? Szczerze mówiąc na najwyższym poziomie, światowym. Nasz czytelnik z Łasku, czy Piotrkowa wprowadzany jest w wielki świat, którego nigdy nie zobaczy, albo przynajmniej nie prędko. A więc słyszymy co nieco o onaniźmie w filmie Bergmana pt. „Milczenie", co nieco o pornografii made in Hollywood, nieznanych u nas książkach Henry Millera, czy w ogóle książkach Beat Generation. Dowiadujemy się także, że Bazin napisał interesujący esej o pornografii śmierci. Oczywiście, wszystko jest tu podane w skrótach, przy pomocy szyfru, nieznanego przeciętnemu obywatelowi prowincji. No, ale on nie jest lewicowym intelektualistą, nie musi więc znać tego, co się w stolicy dyskutuje.

Chociaż nie, w wypowiedzi p. Toeplitza można znaleźć jedno zdanie zrozumiałe dla każdego. Powiada on: „To jest prawda, że u nas swoboda w stosunkach między płciami jest większa niż w Szwecji. Bo w Szwecji sprawy erotyzmu i miłości traktowane są jako zabieg higieniczny, jak wizyta u dentysty. Natomiast u nas ludzie przeżywają autentycznie przygody erotyczno — miłosne, pogłębione uczuciowo, nie oglądając się na przepisy typu obyczajowego..."

Wynika z tego, że my tu w kraju wyżej stoimy od takiej Szwecji, gdzie miłość, gimnastyka poranna, rwanie zębów czy mycie zębów na jednym stoją poziomie, a u nas jednak nie. Jesteśmy uczuciowi.

Dyskusja warszawska zawsze w ten sposób przebiega, że z jednej strony jej czytelnik dowiaduje się, że nic nie wie z tego, o czym się mówi, ale równocześnie otrzymuje jakiś komplement w rodzaju — jesteś moralniejszy od Szweda. Nie dziwnego, oni napadli na Częstochowę, a my nie.

Pozostaje jeszcze kwestia zakończenia dyskusji. Jakież przyniosła wyniki? Zbigniew Klaczyński, który dyskusję zainicjował, wygłosił takie podsumowanie: „Wydaje się, że można już w tym miejscu serdecznie podziękować uczestnikom dyskusji. Nie znaleźliśmy żadnej dokładnej definicji pornografii, bo dyskutowaliśmy o zjawisku nieokreślonym, podobnie jak nie określiliśmy żadnej normy, wskazującej, jak w stosunku do tego, nie określonego zjawiska zachować się w sensie społecznym".

No, ale żeśmy sobie przynajmniej podyskutowali, prawda? Co zaś tyczy podziękowania, można je było złożyć znacznie wcześniej niż to uczynił p. Klaczyński.

Wiesław Jarosiński

STEFAN KRAKOWSKI

PROBLEM MILENIUM NA WARSZTACIE HISTORYKA

Zagadnienie wytworzenia się państwowości polskiej posiada — jak każde zjawisko historyczne — dwa aspekty badawcze: kiedy to się stało i jak to się stało. I otóż współczesna historiografia, w rezultacie długotrwałych i szeroko potraktowanych studiów historycznych i archeologicznych, może prawie bezbłędnie wystawić naszej państwowości metrykę: państwo polskie istnieje około 1100 lat. To stwierdzenie nie wywołuje na ogół wśród historyków jakichś zasadniczych kontrowersji. Większe kłopoty sprawiała, a częściowo sprawia do dzisiaj, druga kwestia, mianowicie: w jaki sposób doszło do powstania państwa polskiego. Ten aspekt poznawczy wymaga zbadania i oświetlenia przyczyn zjawiska historycznego, odpowiedniego uwzględnienia proporcji i wzajemnych zależności różnorakich czynników, które spowodowały i złożyły się na jego genezę, charakter i treść. Jest to trudny etap badawczy, który z natury rzeczy doprowadza do znacznych nieraz różnic w poglądach, tym większych o ile czynniki emocjonalne, nieraz tkwiące tylko w podświadomości badacza (środowisko narodowościowe, klasowe itp.) nie są wystarczająco hamowane przez obiektywne możliwości poznawcze (np. ilość i jakość źródeł, rodzaje metod naukowych, stosunek do założeń metodologicznych).

Jest rzeczą na ogół powszechnie znaną, że geneza państwa polskiego znajdowała się do niedawna w zespole najbardziej chyba kontrowersyjnych problemów historycznych. Złożyły się na to: poważna ranga polityczna tego problemu oraz okoliczność, że informacje źródeł pisanych tyczących problemu były skąpe i nieraz trudne do jednoznacznej interpretacji. A przecież one, niezależnie od stosunku historyka wobec założeń metodologicznych, stanowiły i stanowią — należy tu od razu zdecydowanie podkreślić — zasadniczy punkt wyjścia badań naukowych. Czym zatem, w zakresie źródeł pisanych dysponuje historyk odtwarzający proces formowania się państwowości polskiej?

Wiązkę wiadomości o Słowianach (pod nazwą: Wenedi, Antowie, Sklaweni) dostarczają autorowie starożytni i wczesnego średniowiecza, m. in. Pliniusz, Tacyt, Ptolomeusz, Jordanes oraz nieco późniejsi od nich historycy i geografowie bizantyjscy i arabscy. Mniej więcej od IX wieku przekazy źródłowe są coraz liczniejsze — co więcej, zawierają już informacje o tzw. plemionach polskich (tzn. z terytorium późniejszego państwa polskiego). Tak np. z połowy wieku IX pochodzi zapis źródłowy, zwany w historiografii „Geografem Bawarskim", który wylicza plemiona słowiańskie na wschód od Łaby i na północ od Dunaju.

Reminiscencje okresu plemiennego i następnie walk międzyplemiennych o hegemonię w ostatecznym etapie formowania się państwowości polskiej wynikają ze swoistej, ale — jak się sądzi w nauce — nie pozbawionej realiów wizji historycznej niektórych kronik, przede wszystkim jednak Kroniki Galla-Anonima. Swoje relacje tyczące wydarzeń wieku IX i pierwszej połowy wieku X czerpał ów nieprzeciętnie inteligentny kronikarz z dworskiej tradycji Piastów, a może i z jakichś zapisków kancelarii książęcej czy arcybiskupiej. Faktem jest, że jego genealogiczny wywód: Mieszko I to syn Siemomysła, wnuk Leszka i prawnuk Siemowita — posiada uzasadniony walor historyczny, szczególnie w świetle danych archeologicznych. Z okresem władztwa Siemowita (zwycięzcy Popiela) nauka wiąże etap wyjścia kształtującej się państwowości polskiej poza terytorium plemienne Polan — na ziemie kujawskie i łęczycko-sieradzkie.

Dalszy etap w budowie państwa polskiego ilustruje bezcenne wprost źródło zwane Relacja Ibrahima ibn Jakuba. Jest to mianowicie opis krajów zachodniosłowiańskich (m. in. Czech i Polski) dokonany przez dyplomatę, uczonego i być może kupca z kalifatu kordobskiego — Ibrahima ibn Jakuba, który na krótko przed rokiem 966 przebywał, z nieznaną nam bliżej misją, w Europie środkowej. Ten dyplomata i geograf jest inteligentny i rzeczowy reprezentuje godnie wysoką jakość ówczesnej kultury arabskiej (Ibrahim był Żydem, ale pisał po arabsku). Państwo polskie w relacji Ibrahima ibn Jakuba to już prawie potęga: najrozleglejsze z krajów zachodniosłowiańskich, o gospodarce rolno-hodowlanej, ze stałą armią zawodową (drużyna złożona z 3 tysięcy konnych).

Mimo że relacja Ibrahima ibn Jakuba jest źródłem niebywałej wagi dla badań nad początkami państwa polskiego, przecież nie ona, a inne, znacznie uboższe w informacje, pełne przeinaczeń dokonanych przez kopiste źródło zrobiło zdumiewającą karierę. Chodzi tutaj mianowicie o przekaz źródłowy zwany w nauce „Dagome iudex". Jest to regestr przywileju wydanego w latach 990—992 przez Mieszka I, jego (drugą) żonę Odę i synów Lamberta i Mieszka na rzecz papiestwa. Wartościowe jest tutaj opisanie granic ówczesnego państwa polskiego (w ogólnych zarysach zbliżonych do dzisiejszych). Ale zainteresowanie, można by rzec — sensację, wywołała wśród historyków (szczególnie niemieckich) okoliczność, że w formule wystawców dokumentu brak jest imienia Mieszka, wymieniony jest natomiast tajemniczy „Dagome" („iudex", tj. sędzia oznaczał w nomenklaturze wczesnośredniowiecznej władcę, księcia). Interpretacja słowa „Dagome" posiada już w literaturze obszerna (może nawet za obszerna) pozycję, a zainicjował ją niemiecki historyk Holtzmann. Uznał on, że „Dagome" to germański Dago, wódz zwycięskich najeźdźców na kraj barbarzyńskich Słowian i twórca polskiego organizmu państwowego. A zatem Mieszko — to przybrane (na użytek słowiańskich poddanych) imię germańskiego Dagona. Trudno w to obecnie uwierzyć, a jednak ta pseudonaukowa, dowolna interpretacja, odizolowana od całokształtu dokumentacji historycznej, nie tylko znalazła wśród historyków niemieckich poparcie, ale wywołała gorącą (a w istocie rzeczy zbędną) polemikę ze strony historyków polskich. Chodzi właśnie o to, że w tym wypadku oczywisty bezsens „dowodu" inspirowany czynnikami emocjonalnymi (niemiecki szowinizm) dominował nad wymową źródeł i ich naukowej interpretacji.

Podany wyżej zestaw źródeł jest oczywiście, niepełny.

Jak to już była mowa, przekazy źródeł pisanych są podstawowym tworzywem w pracy historyka. Te jednak posiadają dla badacza istotne znaczenie dopiero wtedy, gdy zostają udostępnione w formie krytycznie opracowanych wydawnictw źródłowych. I otóż tak się złożyło, że jubileusz polskiego Milenium — to jednocześnie sui generis jubileusz stulecia polskiego wysiłku w zakresie publikacji źródeł tyczących wieków średnich, a przez to istotny początek naukowych badań m. in. również genezy państwa polskiego.

Od roku 1864 poczęły ukazywać się kolejne tomy (ogółem 6) wspaniałego wydawnictwa pn. „Pomniki dziejowe Polski" („Monumenta Poloniae Historica"), które objęło wszystkie, znane podówczas, kroniki, roczniki, żywoty świętych, tzw. spominki itp. źródła opisowe tyczące polskiego średniowiecza. Prawie w tym samym czasie opublikowane zostały „Dzieła Wszystkie" („Opera Omnia") Jana Długosza (ogółem 14 tomów!), liczne wydawnictwa dokumentów czyli tzw. kodeksy dyplomatyczne, listów z kancelarii królewskich i książęcych, niektórych zabytków prawnych itp. Publikacje źródłowe, w opracowaniu wybitnych historyków, wydawane były prawie wyłącznie na terenie Galicji (Kraków i Lwów) z reguły sumptem społecznym.

Fot. A. Kaczkowski

Ten proces odkrywczy był trudny, pełen niejasności, a przeto tym bardziej wabiący ku uproszczonym sądom i hipotezom. Ogromne znaczenie miałoby poszerzenie bazy dokumentacyjnej, szczególnie zaś wyjście poza źródła pisane, nie mniejsze — udoskonalenie metod badawczych. Co do postulatu pierwszego, było oczywiste, że na odkrycia nowych źródeł pisanych nie było większych szans. W istocie rzeczy w ciągu ostatnich 40 lat historykom udało się jedynie wyinterpretować wartościowe nieraz informacje ze źródeł zasadniczo znanych dawniej ale mało adekwatnych w warunkach nie udoskonalonej techniki badań. Chodzi tutaj głównie o przekazy bizantyjskie, arabskie i sagi skandynawskie. W sukurs źródłom pisanym przyszły natomiast źródła archeologiczne, a zatem rezultaty prac wykopaliskowych na dawnych grodziskach, zaginionych osadach ludzkich, cmentarzyskach itd. Badania tego typu czynili jeszcze przed wybuchem II wojny światowej archeologowie zarówno polscy jak niemieccy dopiero jednak w ostatnim dwudziestoleciu „wykopki" archeologów ogarnęły poważną liczbę stanowisk, szczególnie na terytoriach peryferyjnych: na Śląsku, w Wielkopolsce i na Pomorzu. Osiągnięcia polskiej archeologii (w tym i środowiska łódzkiego) są ogólnie znane i nie ma potrzeby szerzej tu o nich pisać. Na ogół biorąc, dostarczyły one historykom, zajmującym się problemem powstania państwa polskiego i pierwszych wieków jego egzystencji, danych co do kultury materialnej, struktury gospodarczej i stosunków społeczno-politycznych ludności zamieszkałej na terytorium naszego kraju od czasów I tysiąclecia p.n.e. do XI—XII wieku n.e., z wyraźnym, oczywiście, zageszczeniem i uściśleniem informacji dla okresu poprzedzającego czasy Mieszka I. Interpretacja źródeł archeologicznych doprowadza przede wszystkim do dwu kapitalnych wniosków: 1. ludność na terytorium późniejszej Polski była ludnością słowiańską, i 2. brak jest w nawarstwieniach kulturowych tzw. skoków rewolucyjnych (nazwa może nie naukowa, ale bardzo plastyczna), tzn., że nawarstwienia wykazują ewolucję rozwojową w tym samym typie kulturowo-etnicznym. A zatem i źródła archeologiczne nie potwierdzają teorii najazdu Germanów na ziemie Słowian polskich — rzekomej przyczyny powstania państwa polskiego — wręcz odwrotnie, dokumentują ewolucyjny proces rozwoju gospodarczego i związane z nim przemiany społeczne ludów słowiańskich, osiadłych między Odrą i Bugiem, przemiany, które miały ostatecznie doprowadzić do dyferencjacji klasowej i ukształtowania się feudalnego państwa polskiego.

W poszukiwaniu dodatkowych argumentów naukowych w badaniach nad genezą naszej państwowości historycy sięgnęli również po materiał etymologiczny. Tak np. analiza nazw osobowych i geograficzno-osadniczych z terytorium Polski do mniej więcej XII wieku wykazała minimalny odsetek nazewnictwa o obcej proweniencji. Co więcej, nazwy osobowe członków dynastii i możnowładztwa, jak też nazwy najważniejszych grodów (Poznań, Gniezno, Wrocław, Kraków, Gdańsk) są słowiańskie. Posiada to bardzo poważną wymowę nie tylko co do pochodzenia etnicznego klasy panującej, ale także co do sposobu formowania się państwa polskiego.

Wspomniano już wyżej, że w warunkach ubóstwa materiałów źródłowych specjalne znaczenie posiada udoskonalona metoda badawcza. Postulat ten musiał być bezwzględnie przestrzegany w próbach nad rozwiązaniem tak złożonego zjawiska historycznego, jak powstanie państwowości polskiej. Była już mowa o tym, jaki bezsens naukowy popełnił R. Holtzmann, budując na podstawie jednego, dość bałamutnego przekazu źródłowego, całą teorię o „normańskim pochodzeniu" państwa polskiego. Dopuścił się on zasadniczego błędu metodycznego: nie badał zjawiska skomplikowanego i długowiekowego w sposób kompleksowy, z uwzględnieniem wszelkich dostępnych źródeł i na tle całokształtu sytuacji historycznej. Co prawda, niektórzy z kontynuatorów twórcy „teorii normańskiej" usiłowali podbudować tę teorię różnego rodzaju „argumentami", tego typu np., że prawo i ustrój Polski we wczesnym średniowieczu w jakichś elementach „podobne" są do prawa i ustroju jej zachodnich sąsiadów, albo, że Słowianie w ogóle skłonni są do anarchii i nie mają predyspozycji „państwowotwórczych".

A zatem warunek pierwszy: badania kompleksowe. Warunek następny: konieczność spojrzenia wstecz i naprzód w aspektach chronologicznych. Tak np., jeśli nie trudno skonstatować, że państwo polskie od przełomu wieku X—XI jest organizmem silnym politycznie i gospodarczo, to jest rzeczą oczywistą, że procesy, które do tego doprowadziły, szczególnie w ówczesnych warunkach administracji, komunikacji i techniki, należy cofnąć o wiele stuleci wstecz. Jest to tzw. metoda retrospekcji historycznej. Inna metoda to tzw. komparacja (czyli po prostu metoda porównawcza). Chodzi o to, że w tych samych lub zbliżonych warunkach historycznych istnieje podobieństwo w reakcjach: przyczyna—skutek. Dlatego też badacz genezy państwa polskiego musi koniecznie znać procesy formowania się innych państwowości, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów państwowości krajów sąsiednich (Czechy, Ruś). W ocenie kładzie się silny nacisk na analizę kartograficzną badanego terytorium państwowego: warunki geo- i topograficzne, czynniki fizjograficzne (szata leśna, sieć rzeczna, gleba, klimat itp.) niewątpliwie determinowały procesy osadnicze, gospodarcze, a w rezultacie społeczne i polityczne.

Tak oto wygląda, z grubsza przedstawiony, współczesny warsztat historyka odtwarzającego proces powstania państwa polskiego.

MIŁY PAN CRAFT

Pan Robert Craft publikuje w lutowym numerze amerykańskiego tygodnika „Harpers" coś w rodzaju reportażu o swym pobycie wraz ze Strawińskim w Warszawie. Kto to jest pan Craft? Dowiadujemy się z notki redakcyjnej, iż napisał on już pięć książek o Strawińskim i jego podróżach. A więc rodzaj współczesnego Eckermanna. Jest również pan Craft dyrygentem, krytykiem muzycznym. A więc wielorakie uzdolnienia. Kim jeszcze jest pan Craft? O tym za chwilę.

Swe relacje z Polski zaczyna pan Craft od wrażeń z lotu na linii Paryż — Warszawa. Nie ujdzie jego uwagi, że polskie drogi są, jak przed wiekiem, opustoszałe, krajobraz smutny a twarze wracających do ojczyzny Polaków aż nazbyt wyraźnie dowodzą, jak posępny czeka ich żywot. Dobry początek reportażu, prawda?

W Warszawie, z lotniska do hotelu wiozą pana Crafta ulicami wśród przedwojennych, odrapanych kamienic lub dzielnicami nowych budynków typu barakowego. A w hotelu, którego sama nazwa — Europejski — ma ponoć świadczyć, iż to już nie Europa, dostaje się pan Craft w ręce oprawców ze SMERSHU. Co to jest SMERSH? To potężna i groźna organizacja komunistyczna znana Amerykanom z filmów szpiegowskich serii „Bonda". Więc i pan Craft zna SMERSH: czekając aż przewodniczka i opiekunka z Orbisu załatwi formalności meldunkowe, ogląda pan Craft westibul i stojące w nim palmy, i nie ma żadnej wątpliwości, że w każdej z palm ukryte są mikrofony organizacji SMERSH.

Ta organizacja towarzyszy mu odtąd w parudniowym warszawskim pobycie nieustannie. Najczęściej przybiera postać panny Jolanty, urodziwej warszawianki, która pozuje przed panem Craftem na patriotkę, entuzjastkę nowoczesnej muzyki, wielbicielkę Strawińskiego i nawet udaje sympatię dla Ameryki. Pan Craft jest jednak nie w ciemię bity: nie da się na to nabrać i akceptując urodę dziewczyny, ani na chwilę nie zapomni o SMERSHu. Śmieszy go zresztą wiele spraw w tej posępnej Warszawie, w tym wschodnim, prowincjonalnym miasteczku: śmieszy go na przykład kapelusz panny Jolanty. Kobiety w Ameryce takich kapeluszy nie noszą! Wiadomo jakie gustowne kapelusze noszą Amerykanki!

Warszawa — wschodnie miasteczko ma trochę kościołów w stylu włoskim, mnóstwo zakonnic i księży snujących się po ulicach („nigdzie ich tylu nie widziałem w Europie poza Rzymem"), ma stare miasto, które liczy — po odbudowie — dopiero pięć lat, i od którego woli pan Craft dzielnice nowe, „zresztą uderzająco brzydkie".

Orkiestra, z którą męczy się Strawiński i Craft jest kiepska, spektakle rozpaczliwe... Raz tylko pan Craft w swych reakcjach ożywia się i ten passus jego recenzji pozwolimy sobie podać w dosłownym przekładzie.

„Dopiero Danse sacrale (ze „Święta Wiosny") uratował mój wieczór. A właściwie nie taniec, a tancerka, drobna blondynka, która leżąc na plecach, w tej pozycji wiła się, wypinała i podrygiwała, i to właśnie tak, jakby męska część widowni życzyła sobie tego od niej w łóżku".

Dalej relacjonuje pan Craft swój pobyt w Warszawie, opierając się jakoby na opiniach Strawińskiego. Dzięki temu dowiadujemy się, że Polacy (oczywiście — antysemici) nie używają uprzejmego słowa „Jewrej" tylko obraźliwego — Żyd. Że polski serwilizm i służalczość wyraża się najdobitniej w takich powiedzonkach jak „padam do nóg". Że wreszcie dla rosyjskiego ucha polski język robi wrażenie komicznego żargonu, pełnego niestosownych słów.

W ostatnich dniach pobytu następują spotkania: a więc najpierw znajomi i krewni Strawińskiego, często z zamiarem wyłudzenia „złotych". Potem nudne spotkania z kompozytorami, z których każde zatraca głuchą prowincją. Wreszcie bankiet w Jabłonnej. Przy tej okazji pan Craft pochwali — o dziwo — kuchnię. Ale sam bankiet będzie tak nudny, że nasz miły gość czmychnie na łąki, wraz z panną Jolantą — i tam odniesie nad tym groźnym agentem SMERSHu wspaniałe erotyczne zwycięstwo, o czym nie omieszka szczegółowo i arcydelikatnie poinformować czytelników „Harpersa".

Wreszcie odjazd i — i to pełen grozy, bo wiadomo, że Strawińskiego i Crafta ów SMERSH może aresztować za błahy liścik do krewnych na Zachodzie.

Oto „bezstronna" relacja o Polsce. Kim więc jest jej autor, pan Craft? Spokojnym Amerykaninem z tego samego gatunku, co osławiony korespondent New York Times, wydalony z Warszawy — Dawid Halberstam. Spokojnych Amerykanów zna już cały świat. I wiadomo, że bywają to czasem ludzie kulturalni i sympatyczni. Niestety, bywają to często i osobnicy zdumiewający prymitywizmem, arogancją, prostactwem.

WACŁAW BILIŃSKI

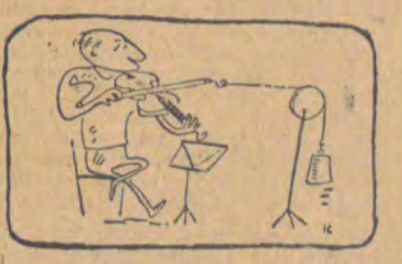

MALI LUDZIE DO WIELKICH INTERESÓW

Dalszy ciąg ze str. 1

pisze umowę z tym eksporterem, który sprzedaje po najniższych cenach. Pan Thommen nie miał oczywiście zielonego pojęcia po jakich cenach sprzedają barwniki w Polsce konkurenci i składając ofertę robił to w ciemno. Jeśli nie zostawała przyjęta, mógł przypuszczać, że ubiegł go rywal z innej firmy, który zaproponował niższą cenę. Jak już bowiem mówiliśmy na wstępie, życie jest okrutne dla akcjonariuszy „Sandoza".

Oczywiście, w naszym interesie, reprezentowanym w tym wypadku przez Centralę Handlową „Ciech" leży utrzymywanie w tajemnicy ofert cenowych poszczególnych firm. Pozwala to nam wykorzystać walkę konkurencyjną zagranicznych firm i sprowadzać barwniki po najniższych cenach. Panu Thommenowi udało się jednak skorumpować jednego z pracowników Centrali „Ciech" — Maurycego Krakowskiego, który za obiecaną „prowizję" w wysokości 0,75 proc. od wartości zakupionych barwników dla całego przemysłu zgodził się informować Szwajcara o cenach konkurentów. Maurycy Krakowski zdradzał zresztą tajemnice nie tylko zagranicznych eksporterów, ale również wszystkie plany Centrali „Ciech" dotyczące limitu cen, ilości, rodzaju i czasu zakupu. Za tego rodzaju działalność, nie trzeba chyba mówić jak wielce szkodliwą dla naszych interesów, Maurycy Krakowski otrzymał od samej firmy „Sandoz" w latach 1958—1963; 39.150 franków szwajcarskich. Ale nieuczciwy pracownik handlu zagranicznego nie ograniczył się jedynie do „Sandoza". Podobne porozumienie zawarł również z przedstawicielem „Hoechsta". Wyobrażam sobie burzę na posiedzeniu rady nadzorczej „Hoechsta", gdy zarząd poinformował, że według poufnych informacji włoska ACNO wyłamała się z porozumienia kartelowego i sprzedaje taniej. Pieniądze Maurycy Krakowski kazał sobie przesyłać na adres brata mieszkającego w Londynie, który mu je później przekazywał za pośrednictwem Polskiej Kasy Opieki SA.

Sprawa przekazywania pieniędzy do Polski w całej tej historii jest niezwykle ważna. Dla łapówkarskiej szajki była zresztą najtrudniejsza i w konsekwencji zaprowadziła jej członków na ławę oskarżonych.

„ZASTRZYKÓW MAŁEGO DO MNIE NIE PRZYSYŁAJ"

Członkowie komisji barwnikarskiej nie byli w tak szczęśliwej sytuacji — jak Maurycy Krakowski — nie mieli braci w Londynie. Cóż z tego, że pęczniały im konta za granicą, gdy oni potrzebowali pieniędzy w kraju. Początkowo prokurenci przywozili im różne przedmioty w rodzaju złotych zegarków, maszyn do pisania, czy radioaparatów, ale „prezenty" te oczywiście w minimalny jedynie sposób uszczuplały ich należności. Znany nam już pan Thommen oraz jego współpracownik, również z firmy „Sandoz" — Neuschütz odwiedzając Polskę wręczali na ogół przy tej okazji trzem panom z komisji barwnikarskiej spore sumy dolarów. Ten system przekazywania pieniędzy nie był jednak najlepszy. Prokurenci wiedzieli, że któregoś dnia mogą na granicy, przy wyjeździe z Polski mieć poważne nieprzyjemności ze strony celników, gdy stwierdzą oni, że wywożą mniej niż przywieźli zadeklarowanych pieniędzy. Stąd w późniejszym okresie na adresy różnych podstawionych osób z Łodzi przychodziły paczki ze sweterkami, które trzej panowie sprzedawali w komisach. Część pieniędzy wspólnicy odbierali również podczas swoich, dość zresztą częstych, wyjazdów za granicę.

W 1961 roku Józef Zysman, który uznał widocznie, że dalsze pozostawanie w kraju może źle się skończyć, wyemigrował do Paryża. Nie zrezygnował jednak z uprawiania swego procederu. Dla pozostałych wspólników w kraju stał się teraz głównym dysponentem, zagraniczne firmy jemu bowiem przekazywały pieniądze, które on różnymi sposobami przesyłał do kraju. Aby móc się porozumiewać z pozostałymi w kraju wspólnikami opracował dla korespondencji specjalny szyfr umowny. „Rodzina", jak już wiemy oznaczała prokurentów, „jedno pudełko zastrzyków — tysiąc złotych, a na przykład takie zdanie jak „zastrzyków małego do mnie nie przysyłaj", w tłumaczeniu znaczyło, żeby Józef Zysman nie przysyłał chwilowo pieniędzy dla Bolesława Tarchalskiego.

W rok po wyjeździe za granicę Józefa Zysmana ubył jeszcze jeden wspólnik: Władysław Jasionowicz. W grudniu 1962 roku Władysław Jasionowicz wracając z podróży służbowej do Moskwy doznał wylewu krwi do mózgu i po dzień dzisiejszy przebywa w zakładzie dla nieuleczalnie chorych. Jeśli opowiadamy o tej historii to jedynie dlatego, że chcielibyśmy pokazać również obyczajowość i mentalność ludzi, którzy przez tyle lat uprawiali ten złodziejski proceder. Tego dnia bowiem, gdy żona Władysława Jasionowicza odwiozła męża do szpitala przyjechał do Łodzi prokurent firmy „Durand et Hugein" p. Märtz. Prosto ze szpitala, gdzie zostawiła prawie umierającego męża Zofia Jasionowicz pojechała do „Grand Caffe" na spotkanie z panem Märtzem, od którego miała otrzymać „10 pudełek zastrzyków"... Zofia Jasionowicz zastępowała odtąd w interesach męża i Józef Zysman przekazywał jej z Paryża pieniądze.

W tym czasie Józef Zysman przekazywał pozostałym w kraju wspólnikom pieniądze za pośrednictwem niejakiego Stanisława Pacanowskiego, który często bywał w Paryżu. Czytelnicy kroniki sądowej zapewne sobie przypomną to nazwisko — „genialnego" łódzkiego dentysty, który odkrył sposób szmuglowania złota do Polski, mieszając je w oryginalnych paczkach z kakao. Stanisław Pacanowski i jego wspólnik Paszkowski dokonywali również transferu pieniędzy dla wielu ludzi w kraju. Śledztwo przeciwko nim dostarczyło dowodów, że na zlecenie Józefa Zysmana z Paryża przekazywali oni Zofii Jasionowicz poważne sumy pieniędzy w złotych polskich. Organy ścigania zainteresowały się tą sprawą, bo trudno było przecież podejrzewać, że jest to akcja filantropijna. I wtedy właśnie skojarzono sobie pewną sprawę z 1959 roku, która z braku dostatecznych dowodów została wówczas umorzona. Otóż wówczas jeden z prokurentów „Ciby" oficjalnym pismem zawiadomił Ministerstwo Przemysłu Lekkiego, że członkowie komisji barwnikarskiej zażądali od niego łapówki.

Skojarzono teraz nazwiska występujące w tamtej umorzonej sprawie z nazwiskiem, na które Józef Zysman przekazywał z Paryża pieniądze i mniej więcej wszystko stało się już jasne. Zofia Jasionowicz została aresztowana i w śledztwie potwierdziła te zarzuty. Resztę dopowiedzieli zatrzymani prokurenci firm zagranicznych przeciwko którym władze umorzyły postępowanie, wychodząc z założenia, że zostali przez nieuczciwych urzędników zmuszeni do dawania łapówek. W trosce o dobre stosunki handlowe z Polską przedstawili nawet dokładne wyciągi z kont, aby udowodnić ile pieniędzy wypłacili w charakterze „prowizji"...

Wkrótce więc, gdy tylko stawią się wszyscy świadkowie, Maurycy Krakowski, Zofia Jasionowicz i Bolesław Tarchalski staną przed Sądem Wojewódzkim dla m. Łodzi.

Pozostałych jeszcze do wypłaty za granicą „zastrzyków" Józef Zysman nie ma już komu przysłać...

BOLESŁAW ŻARNICKI

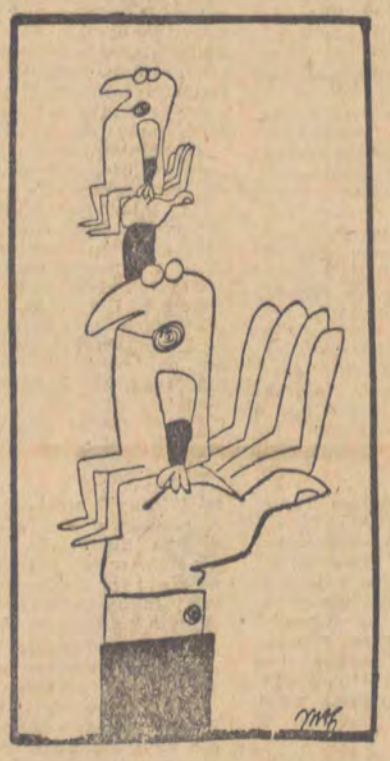

Rys. Milan Vavró

KLIENTA TO NIE OBCHODZI?

W związku z ukazaniem się w ostatnim numerze naszego pisma artykułu Feliksa Bąbola pod takim tytułem, redakcja otrzymała list Zjednoczenia Przemysłu Bawełnianego w Łodzi, z wyjaśnieniem problemów podjętych przez autora publikacji. Obszerne fragmenty listu opublikujemy w następnym numerze pisma.

LECH UTRACKI

KONCERT LUDOWY w ALBERT HALL

Książę Albert of Saxe-Coburg-Gotha przetrwał w pamięci potomnych głównie jako jeden z nielicznych, którzy potrafili poskromić Wiktorię.

— O to była cholera, mówię panu, istna cholera. To prawda, że jako dziecko została królową, ale żeby do matki mówić: „Zrobisz tak, bo ja, twoja królowa tak każę" to nie było w porządku — opowiadał stary strażnik z Westminster. — Tylko z Albertem jej się nie udawało. Kiedyś, gdy się pokłócili, Albert zamknął się w sypialni na klucz. Po chwili pukanie do drzwi. „Otwórz, to ja Wiktoria, królowa", nie odezwał się nawet. Dopiero kiedy powiedziała: „Otwórz Albercie, to ja twoja żona" wtedy dopiero ją wpuścił. Królowa, królową, ale dla niego była to tylko żona.

— Stara ta anegdota, wysłużona i zawsze skłaniająca do zastanowienia, jak wiele prawdy jest w tych historyjkach z sypialń królewskich.

Wiktoria po śmierci Alberta odsunęła się od gwaru dworskiego, zamieszkała w cichym Windsorze i panowała jeszcze czterdzieści lat. W Windsorze zbudowała Albertowi mauzoleum i kaplicę, w Londynie natomiast 60-metrowy pomnik-dziwoląg, który jak powściągliwie stwierdza przewodnik po Londynie „nie wzbudza powszechnego podziwu". Cóż, biedny Albert nie miał szczęścia; wszystkie monumenty poświęcone jego pamięci projektował ten sam G. Scott — zarówno pomnik w Londynie, mauzoleum i kaplica w Windsorze są przeładowane obrzydliwym barokiem wiktoriańskim.

W Krajach Wspólnoty Brytyjskiej imiona obojga współmałżonków powtarzają się często w nazwach prowincji, jezior, miast, muzeów, ulic, placów, nadbrzeży, gmachów użyteczności publicznej itd. Royal Albert Hall znajdujący się naprzeciw pomnika Alberta zbudowano w latach 1867—71. Jest to ponure gmaszysko z poczernionej cegły, przypominające raczej magazyn portowy lub halę fabryczną. Kształtem przypomina rzymskie Colloseum; jest owalną strukturą z galeriami arkad na trzech poziomach. Gmach nie posiada okien więc arkady są ślepe. W Albert Hall mieści się sala widowiskowa, jedna, lecz na 10 tysięcy ludzi! Tutaj odbywają się koncerty — giganty (znajdują się tu organy o 9.000 piszczałek), mitingi polityczne i religijne, mecze bokserskie, itp. ewenementy.

W czasie pobytu w Stanach, byliśmy z Davem częstymi słuchaczami koncertów muzyki ludowej. Można powiedzieć, żeśmy się rozlubowali w tych imprezach. Dave poszedł nawet tak daleko, że sam zaczął podśpiewywać brzdąkając na gitarze. Kiedy więc przeczytałem, iż w Albert Hall odbędzie się taki koncert, popędziliśmy w te pędy.

W Los Angeles koncerty odbywały się w małych szopach, ciemnych i zadymionych, przy stolikach nad kuflem piwa. Publiczność stanowili beatnicy, studenci, malarze, literaci. Było familijnie; wykonawcy i słuchacze często znali się jak łyse konie. Idąc do Albert Hall byłem przekonany, że koncert zrobi klapę. Jak można zapełnić 10-tysięczną salę entuzjastami ludowych piosenek? Wchodząc do gmachu jeszcze bardziej utwierdziłem się w tym mniemaniu. Kilka osób przed wejściem, pięć w kolejce po bilety, cisza, spokój... A koncert zaczyna się za pięć minut!

Sala była pełna! 10.000 ludzi nie wiedzieć kiedy, nie wiedzieć jak wniknęło do wnętrza kilkunastoma wejściami. Scenę, maleńką w ogromie sali, oświetlały padające ostro z góry spod dachu punktowe reflektory. Punktualnie o 7.30 wbiegł konferansjer, rozpoczął się koncert.

Wyobraźcie sobie, że ktoś da wam do ręki kawałek drewna, kilka gramów baranich kiszek i każe wam przez pół godziny bawić 10 tysięcy ludzi! Toż to koszmar! Zadanie, zdawałoby się, nie do wykonania. A przecież oni to potrafili. I to jeszcze jak. Sala to wyciszała się zupełnie, to wyła refreny do wtóru piosenkarzowi; 10 tys. ludzi śpiewających jak im zagrać, to jest wyczyn!

„Latem 1950 roku ojciec zabrał do samochodu, autostopowicza, Murzyna, w Południowej Georgii i zawiózł go przez Chattahoochee do Eufala w Alabamie. Kiedy przejeżdżali przez rzekę, chłopak zaczął opowiadać jak brat został zlynczowany, jak kadłubek z odciętymi kończynami rzucono na próg matczynego szałasu" — mówi Heddy West — „Potem ojciec napisał wiersz, ja skomponowałam melodię, i tak powstała ta piosenka".

Heddy West urodzona w górzystych okolicach Georgii zdobyła tytuły akademickie w Uniwersytecie Columbia. Obecnie jest traktowana jako jedna z najciekawszych postaci amerykańskiego ruchu pieśniarskiego. Głos ma ostry, urywany. Akompaniuje sobie na banjo.

„I znów był następny lynch
I następne ziarnko piasku
Rzucono na górę krzywdy.
Och, ta ziemia skrywa gniew".

Heddy West jest szczupła, ma czarne włosy i bladą podłużną twarz. Trudno powiedzieć na czym polega jej czar, którym zjednywa sobie publiczność w Ameryce, Europie, Izraelu.

„Zaśpiewam wam moją ulubioną piosenkę — mówi do 10.000 ludzi jakby byli grupką kolegów na prywatce u cioci. — „Śpiewała mi ją babcia, gdy byłam malutka", i dramatycznym głosem zaczyna starą angielską balladę o romansie Lorda Thomasa, który nie skończył się najlepiej: „O chłopcy, o chłopcy, malujcie na czarno trumnę. Pochowajcie Fair Ellender w mych ramionach a ciemną dziewczynę za mymi plecami". (Ciemna dziewczyna, to ta zła!).

Ostatni zespół przed przerwą to „Dubliners" — grupa pięciu brodaczy pod wodzą nieprzeciętnie energicznego rudzielca. Ileż ci chłopcy wprowadzili wigoru. Irlandzkie pieśni mają w sobie wiele z naszych góralskich rytmów, czasem przypominają kozaka... Śpiew dublińczyków był pełen zaśpiewów, krzykiem poprzez melodię fidli, banjo, i gitar. Działali jak samonakręcająca się sprężyna, „kamienistą drogę do Dublina" śpiewała już cała sala.

— Chcesz zobaczyć coś ciekawego? — zapytał Dave, gdy na sali zapalono światła.

— Od urodzenia nie robię nic innego. Co masz na myśli?

— Wyjdziemy na spacer?

— Cóż ty tam knujesz? Chodźmy.

Nawet światło lamp wydawało się zielonkawe. Wiatr szarpał gałęziami drzew otaczających pomnik. Skręciliśmy wzdłuż ściany Albert-Hallu. Nagle spostrzegłem tłumek ludzi przylepiony do jakichś drzwi jak rój pszczół do gałązki. Były to prawie wyłącznie młodziutkie, 12-, 14-letnie dziewczęta. Po dwu stronach stali policjanci. Spokojni, nie przejęci rozgrywającą się sceną, widać nie po raz pierwszy w tej sytuacji.

— Co się tu dzieje? — zapytałem szeptem.

— „Wejście dla artystów" — przeczytał Dave. — Czekają na autografy:

W tym momencie uchyliły się drzwi i jakaś ręka wysunęła się ze stertą różnej maści i rozmiarów notatników, albumików, pamiętników. Tłumek ożywił się na moment, wchłonął pożywkę, i w czekającą rękę pofrunęły dalsze karteluszki, memuary. Jednak było piekielnie zimno na dworze.

„A teraz gwóźdź naszego programu! Śpiewa Tom Paxton". Na scenę z banjo w jednej a z gitarą w drugiej ręce wyszedł podłysiały, 27-letni mężczyzna. Tom jest trubadurem i pcetą opanowanej przez artystyczną cyganerię, bohemię, beatników, niebieskie ptaszki dzielnicy Nowego Jorku Greenwich Village. Pierwszą piosenkę „czego nauczyłeś się dzisiaj w szkole mój drogi chłopcze?" powitał huragan braw, gwizdy i wybijające się ponad wszystko przeraźliwe trąbki entuzjastów. „Policjant ma zawsze rację, senatorzy są tacy mili i zawsze ich wybieramy, studenci są sprowadzani na manowce przez czerwonych, a wojna nie jest znowu taka zła" — śpiewała cała sala.

— To jedna z piosenek Toma — wyjaśnił Dave.

— Co znaczy „jedna z pierwszych?" — zapytałem.

— Napisał około dwustu! Nagrał już prawie wszystkie. Teraz śpiewają je ludzie na ulicy, śpiewacy z estrady, strajkujący robotnicy i zakochani — entuzjazmował się — Tom ma dar takiego komponowania współczesnych piosenek, iż wydają się być sprzed stu lat. Pisze piosenki miłosne i piosenki dla dzieci, na tematy socjalne i polityczne. Zresztą te ostatnie przyniosły mu chyba największą popularność.

„Jest to długa, zakurzona droga, jest gorąco i ciężar wielki,
I ludzie, których spotykam nie zawsze są mili.
Jedni są źli, drudzy są dobrzy,
Ci starają się jak mogą, tamci próbują uspokoić ma głowę...
Lecz ja nie mogę przestać myśleć,
Dokąd zdążam, dokąd ja zdążam?
Nie mogę przestać myśleć
Dokąd zdążam.
Jeśli zobaczysz mnie wędrującego i siądziesz, myśląc „czemu"?
I zapragniesz być również włóczęgą,
Przybij swe buty do podłogi kuchni,
Przywiąż się i zaryguj drzwi.
I dziękuj niebu za ten dach nad głową.
Lecz ja nie mogę przestać myśleć...

To smętna ballada Paxtera „Where I'm bound" napisana w stylu kowbojskiego zachodu, z monotonnie powtarzającym się refrenem śpiewanym szeptem przez wszystkich.

Jaka ONGIŚ BYŁAM...

Wspomniałem już, że przybysze dzielili mieszkańców Łodzi na klasy „wyższe" i „niższe". Oczywiście, że obracali się między klasami „wyższymi" — przemysłowcami, kupcami, właścicielami domów. Wł. Bezobrazow tak to środowisko charakteryzuje: — „najciekawszem jest, że nie podobna zrozumieć w jakim kraju się znajdujemy, w Rosji, w Polsce, w Niemczech czy w jakimś innym kraju? Nie jest to ani pierwszy, ani drugi, ani trzeci; jest to coś zupełnie nowego, podobnego do jakiejś kolonii ogólnoeuropejskiej, zresztą przeważnie niemieckiej, która, jakby się zdawało, jest możliwa jedynie w krajach za oceanem, nie zaś w Europie... Będąc obcym wszelkiej wyraźnej narodowości i wszelkiemu określonemu państwu, typ tej miejscowości, to typ zadziwiająco bezbarwny pod względem narodowościowym... Powtarzamy, miejscowość ta jest najzupełniej jedyna w swoim rodzaju: najwydatniejszy jej typ jest negatywny — wyrzeczenie się wszelkiej narodowości określonej. W samym życiu duchowym nie ciąża oni ani na wschód ani na zachód. Produkcja fabryczna jest główna, omal nie jedyna siła poruszająca wszystkie ich myśli i uczucia: fabryka zastępuje im wszystkie zadania życia i wszelaka ojczyznę".

A fabryka to produkcja, produkcja — to handel, obrót — to pieniądz! W mieście mówiono „czas to pieniądz!" Rubel był osią, wokoło której obracało się codzienne życie. Kronikarz „Dziennika Łódzkiego" zanotował taką oto rozmowę:

— Co ty tu robisz?
— Przyjechałem rozpatrzeć się.
— Za czem?
— Czy nie ma jakiego interesu do zrobienia.
— Pieniądze masz?
— Oj, oj! Frajer! Jakbym miał pieniądze, nie przyjeżdżałbym do Łodzi.
— A jak nie znajdziesz widoków?
— Wyjadę za tydzień.

No i człowiek ten nie wyjechał".

Mówiono powszechnie, że aby w Łodzi żyć, trzeba mieć „kepełe" [1]) na karku. Pieniądz rodził pieniądz. Zajmowano się pośrednictwem, zaznajamiano z „terenem", robiono znajomości. Potem otwierano jakikolwiek handel, małe warsztaty, przedsiębiorstwo. Otrzymywano kredyt, początkowo solidnie z procentami spłacany, rozbudowywano „interes". Gdy kredyty sięgnęły szczytu — miasto obiegała wieść „ten a ten plajtnął!". Zbiegali się wierzyciele, zastawali składy puste, właściciela nieuchwytnego. Przez pośredników wchodził on w układy z wierzycielami, spłacał kredyt w wysokości 10—30 proc. jego wartości, reszta pozostawała „czystym zyskiem", z którym jego posiadacz otwierał nowe przedsiębiorstwo — dla pewności na imię żony, szwagra, kuzyna, lub jakiegoś wspólnika. Im kto dokonał większej „plajty" [2]) a potem otwierał większy interes — tym zdobywał też i większy kredyt. Cmokano z podziwem nad zdolnościami „handlowymi" przedsiębiorcy. Nie, nie, to nie było żadne oszustwo ani kradzież. Nikt tak brzydko nie śmiał się wyrazić.

Wśród przemysłowców były także „plajty", powodowane przesileniami gospodarczymi. Powstawały fabryki jak grzyby po deszczu. Bywali przedsiębiorcy budujący fabryczki szybko, byle nie drogo, od zbiedniałych tkaczy ręcznych wykupywali warsztaty, surowiec brali na kredyt, zatrudniali za niską płacę robotników i produkowali, produkowali na nienasycony rynek zbytu. Duże obroty: pełne magazyny, ubezpieczane były od ognia. Albo kryzys, albo spekulacja powodowały, że pewnej nocy łuna sprowadzała straż pożarną.

Straż powstała w roku 1875. Do roku 1880 liczono 11 do 18 pożarów rocznie. W roku 1881 było ich 44, w następnym 60, w latach 1883—86 od 52 do 61. Potrzeba istnienia straży ogniowej okazała się nieodzowna.

Ze względu na rozciągłość miasta, początkowo stworzono trzy oddziały straży ochotniczej — pierwszy obejmował ochroną część tzw. „linii przędzalniczej" — Piotrkowska od Bałut do ul. Cegielnianej [3]) drugi dalszy ciąg tej linii, od Cegielnianej do Rynku Gavera [4]), trzeci zaś, wzdłuż drugiej linii, tzw. Czeskiej [5]). Miejsca zbiórek w razie alarmu stanowiły: dla I oddziału — gmach Ratusza, dla II — Dom Majstrów Tkackich, dla III — „Paradyż" pomiędzy ulicami św. Anny i Karola [6]). W roku 1882 założono następny oddział — dzieląc miasto na cztery rewiry. Od roku 1884 powstawać poczynają oddziały straży fabrycznej. Komendantami straży byli potentaci łódzcy. Alarmem były tony specjalnej trąbki. Między różnych właścicieli domów w mieście rozdzielono trąbki alarmowe o donośnym dźwięku, a na domach tych właścicieli zawieszono tablice czerwonego koloru z rysunkiem trąbki. Kto spostrzegł pożar, zawiadamiał właściciela trąbki, lub sam miał prawo jej użyć, dając krótkie sygnały. Obowiązkiem wszystkich posiadaczy trąbek było ten sygnał powtarzać. W nocy głos trąbki budził strażaków, w dzień wzywał ich na miejsca zbiórek, skąd udawali się do akcji. Rozrastające się miasto, ruch kołowy, turkot licznych warsztatów mechanicznych głuszył głos trąbek, wobec tego, w roku 1880, zaprowadzono w fabrykach specjalne syreny parowe, które ilością gwizdków, powtarzających się, wskazywały, w której dzielnicy powstał pożar.

Z pożarowej plajty korzystali mniejsi fabrykanci. Jak dobrze poszło, brali „feuerkasse" [7]), budowali większe gmachy fabryczne, na kredyt otrzymywali maszyny i surowiec, by znów być dobrze notowanym przedsiębiorcą.

W walce z pożarem stosowano też pewną politykę. Jeśli „palił" się przyjaciel, starano się, aby straż przybyła jak najpóźniej, aby nie udało się nic uratować — „niech ma feuerkasse pełną". Jeśliby opieszałość strażaków była zbyt widoczna i mogłaby zwrócić na siebie uwagę — wynajdywano inne sposoby pomocy. W nocy odmawiano zezwolenia na branie wody, która w takiej ilości, jak do pożaru, można było czerpać tylko ze zbiorników fabrycznych. W czasie dnia zaś niechętnie zwalniano z pracy członków ochotniczej straży pożarnej, a zbyt gorliwym wytrącano zarobki za nieobecność w pracy. Ale gdy palił się nieprzyjaciel, konkurent dokuczliwy, lub ktoś, z kim się było na pieńku — no, to straż do pożaru jechała na złamanie karku, szybko, szybko, byle uratować jak najwięcej, nawet kosztem życia czy zdrowia — oczywiście strażaków — aby pałacy się nie dostał „feuerkassy" albo bardzo mało.

Rzadziej zdarzały się „plajtowe" pożary domów. Jaskrawym przykładem był pożar bazaru przy ulicy Piotrkowskiej 250. Właściciel jego — jak podaje „Dziennik" — wystawił duży, jak na ówczesne czasy gmach, o trzech kondygnacjach, z oficynami, którego parter od ulicy i w podwórzu przeznaczony został na magazyny i sklepy. „Kto dobrze zna ogromny ten budynek, na fuszerkę zbudowany (w razie deszczu przez sufit przeciekała woda), pełen ciemnych zaułków i waskich korytarzy, z drewnianymi przegrodami, zamiast ścian działowych, którego sufity na wszystkich piętrach uginały się pod krokami pojedynczej osoby, wyobrazi sobie tragedię ludzi podczas pożaru. Właściciel domu z żoną, na dwa dni przed pożarem wyjechał z Łodzi na kurację, pozostawiając syna, który umówiony zamiar miał wprowadzić w czyn. Istotnie po dwóch dniach dom się już palił i ogień zauważono w kilku punktach domu. Było to w nocy. Zaalarmowani mieszkańcy, niektórzy z nich w bieliźnie tylko, ratowali swe życie przed rozszalałym żywiołem. Prawie wszyscy postradali całe swe mienie. Wezwano straż ogniową. Przybyły wszystkie w Łodzi istniejące oddziały, walczyły z żywiołem przez dwanaście godzin bez przerwy i nie opanowawszy go, bo dom palił się ze wszystkich stron, pożar pozostawili własnemu losowi. Dom ten palił się przez trzy dni, to przygasając, to znów pod wpływem podmuchów wiatru, płonąc na nowo, aż trzeciego dnia dwugodzinny deszcz ulewny zalał doszczętnie tlejące po wszystkich katach belki i różne sprzęty. Tak więc żadny zysku kamienicznik pozbawił ludzi nie tylko dachu nad głową, ale i całkowitego dobytku".

Nie tylko ten dom był budowany tandetnie i szybko. Inne domy też budowano na spekulacje. „Ściany ich częstokroć w tym samym roku widzimy porysowane, sufity popękane, a w podłogach całowe szpary — pisał „Dziennik". — Drzwi i okna porozsychane i popaczone, schody zaś tak strome i waskie, że spaść z nich łatwo. Ściany działowe jedną, Nad paleniskiem rozwieszone statki kuchenne, obok szafka czy półki na naczynia gospodarcze, kubki, talerze. W środku pokoju stół z krzesłami, wystarczającymi na ogół dla połowy mieszkańców, reszta rozsiadała się na brzegach łóżek, których bywało jedno lub dwa. Były one wysoko zasłane, jak na wsi zasobnej w poduchy i pierzyny. Ale tutaj tego nie było. Tajemnica tych posłań tkwiła w tym, że w łóżku znajdowały się zapasowe sienniki wypchane słomą, które na noc rozkładano na podłodze — dla reszty rodziny i dla sublokatorów. A tych było zawsze wielu, z braku mieszkań w mieście. Dalszym umeblowaniem izby były komody na bieliznę i szafy na ubrania. Gdy nie było szaf, ubrania i palta zawieszało się na gwoździach wbitych w ściane, aby zaś skromny zasób garderoby nie niszczył się i nie kurzył, zakrywano go prześcieradłem lub starą kapą z łóżka. Wieczorami, a specjalnie w dnie świąteczne, w mieszkaniach robiło się ciasno.

Nieustannemu ruchowi ludności, przybywającemu do miasta, nie nastarczyło i takie budownictwo. Kamienicznicy więc przerabiali strychy, poddasza, szopy, komórki i piwnice na mieszkania. Poddasza były gorące do niewytrzymania latem a nie do ogrzania zimą. Do maleńkiego okna zbliżyć się było można z całym szacunkiem — na kolanach — w najlepszym razie zgiętym w połowę. Były to jeszcze lepsze mieszkania od suteren. „Suterreny! — pisze kronikarz — Czyś Ty był, Czytelniku, kiedy w suterenach? wiesz Ty, co znaczy ten wyraz? Otóż przedstaw sobie — co Ci zresztą w Łodzi łatwo przyjdzie — brudne domiska, gdzieś na ulicach „nowoprojektowanych" (których tutaj jest bez liku), otoczone poetycznymi kałużami i pagórkami odwiecznie nagromadzonego błota, zejdź ostrożnie po pełnych brudu i śliskich od niego schodach do piwnic, tych mrocznych rezydencji, których ściany pokryte są grubą warstwą śniegu albo ściekają nigdy nie wysychającymi strumieniami wody, wyobraź sobie mieszkańców tych piwnic... a będziesz miał pojęcie, co to są sutereny".

ELA.

[1]) Głowę.
[2]) Bankructwo.
[3]) Ob. Jaracza.
[4]) Ob. Pl. Reymonta.
[5]) Ob. ul. Przybyszewskiego.
[6]) Ob. ul. ul. Mickiewicza i Żwirki.
[7]) Ubezpieczenie od ognia.

Z teki WACŁAWA KONDKA

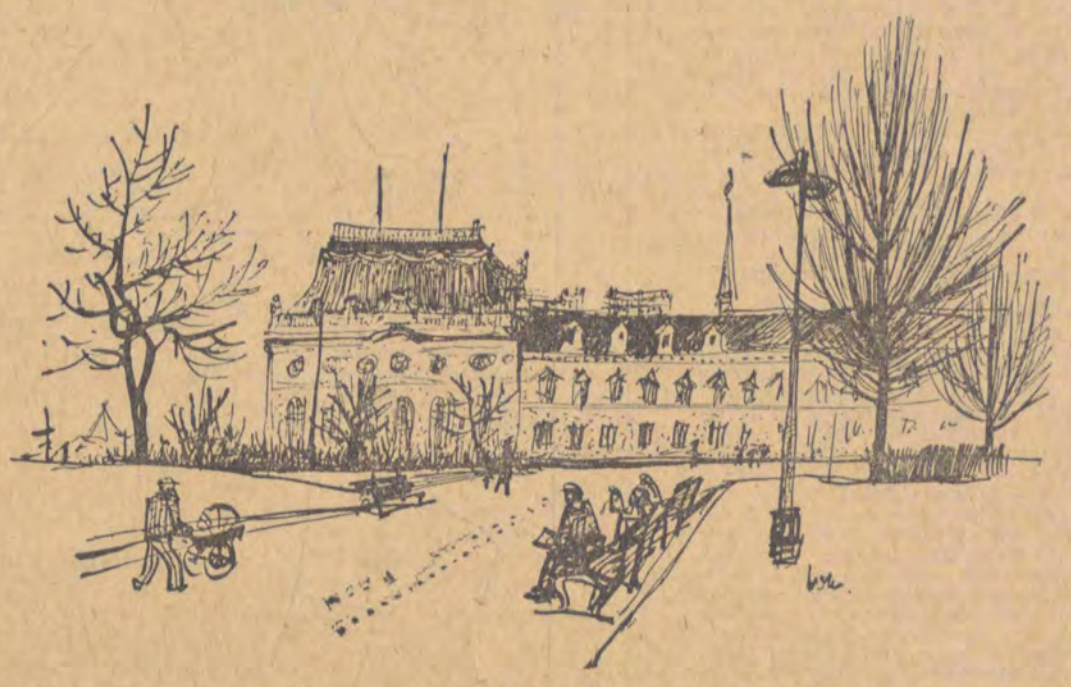

Pałac Poznańskich (Woj. Rada Narodowa).

Paxton zaczął pisać piosenki w wojsku, odsługiwanym po ukończeniu szkoły aktorskiej. Próbował je sam śpiewać. Z początku nie przychodziło to łatwo. Przez długi okres żywił się płatkami owsianymi. Pierwszym uśmiechem losu była „Wspaniała zabawka" która:

„Robiła „zip" jadąc i „bub"
zatrzymując się
i „wrrrrrr" kiedy stała w miejscu.
A nigdy nie wiedziałem co to takiego
i nigdy jak sądzę nie będę wiedzieć
Cóż, lata mijają zbyt szybko i ja
mam z kolei małego chłopca.
I wczoraj dałem mu moją cudowną
zabawkę.
Oczy mu się zaświeciły i krzyknął
pełen radości,
Żaden z nas nie wie co to jest, lecz
on kocha ją tak jak ja".
Wspaniała zabawka.

Liryką trudno karmić 10-tysięczną widownię. Ciekawe byłoby zbadanie zależności pomiędzy wielkością tłumu a jego zdolnością do odczuwania różnych nastrojów. To, że ludzie inaczej reagują w tłumie niż samotnie poddani tym samym działaniom nie jest niczym nowym. O ile „Zabawka" została przyjęta z sympatią o tyle „Lyndon Johnson Told the Nation" wywołało szaleńcza owację. „It's a hit", klaszcząc jak opętany krzyknął tłuściochowi z lewa do towarzyszki. Tom opowiadał jak doszło do jej napisania:

— Satyryk polityczny z Washingtonu, Art Buchwald, napisał klasyczny już felieton pt.: „Prezydent Goldwater". Z wielką ulgą stwierdza co za szczęście, że Goldwater poniósł klęskę. Gdyby Goldwater zwyciężył w wyborach prezydenckich, mielibyśmy rozszerzenie wojny w Wietnamie, superbombowce z wyspy Guam zostałyby wprzęgnięte do akcji i tysiące żołnierzy amerykańskich zostałoby wysłanych do Wietnamu. Dzięki bogu człowiek o takim programie został odrzucony przez naród i mamy rozumnego, miłującego pokój prezydenta Lyndona B. Johnsona. Tyle Art Buchwald. Uderzeniem w struny uciszył oklaski i zaczął śpiewać:

„Dostałem list od LBJ:
Dziś jest twój szczęśliwy dzień,
Już czas byś włożył spodnie khaki.
Jakkolwiek może ci się to wydać
dziwne,
Nie mamy dla ciebie tutaj roboty,
Wyślemy cię więc do Wietnamu.

I Lyndon Johnson powiedział
narodowi,
Nie obawiajcie się rozszerzania wojny,
Staram się wszystkich zadowolić.
Jakkolwiek nie jest to prawdziwa
wojna,
Wysyłamy następne pięćdziesiąt
tysięcy
By pomóc w ratowaniu Wietnamu
od Wietnamczyków!

I tak więc siedzę w półku ryżowym
Myśląc o Wielkim Ojcu
Ja wiem, że Lyndon Johnson kocha
mnie bardzo.
Jednakże ze smutkiem przypominam
sobie
Jak dawno, dawno temu, gdzieś
w listopadzie,
Powiedział przecie, że nigdy nie będę
musiał iść.

And Lyndon Johnson told the nation,
'Have no fear of escalation,
I am trying everyone to please,
Though it isn't really war,
We're sending sixty thousand more
To help save Viet Nam from
Viet Namese".

Śpiewał twardo, z wściekłością, wydobywając z banjo głos werbla.

To co się działo na sali to nie była manifestacja polityczna, nie było to uznanie dla artysty, to było wszystko razem, wielki śmiech, buczenie, gwizdy, oklaski, podrywanie się z miejsc. Wydawało się, że Paxton trafił w strunę długo skrywanych uczuć. Nie było nikogo, kto nie zostałby objęty falą powszechnego podniecenia. Po wielokrotnych wołaniach o bis Tom zanucił „Lyndon Johnson Told The Nation...". Cała sala śpiewała, wyła, darła się, tupała.

Wyobrażacie sobie, dziesięć tysięcy ludzi w stanie podniecenia?... To robi wrażenie.

W Londynie manifestacje przeciwko wojnie w Wietnamie są na porządku dziennym. Jest luty 1966 roku. Przy wyjściu z kolejki podziemnej spotyka się starych i młodych rozdających ulotki, zaproszenia na mitingi protestacyjne (często połączone z projekcją filmu z Wietnamu i... występami piosenkarzy ludowych!). Celem tych akcji jest „nie obwinianie którejkolwiek ze stron, lecz działanie na rzecz pokoju oraz próba nakłonienia rządu Wielkiej Brytanii do działania w roli mediatora". Zdarzają się również akcje bardziej energiczne: próby wejścia na salę obrad Parlamentu, siedzące manifestacja przed wejściem do pałacu Westminsterskiego.

Kiedy piszę to, brzmi to raczej dramatycznie. Byłem świadkiem takiego „sit in" — kilkunastu młodych chłopców z długimi włosami, trzy dziewczyny, starsza, chuda kobieta i młodzieniec z bródką a la Trocki w skafandrze siedzących przed bramą pałacową, rozmawiających, dowcipkujących swobodnie, jakby nie świadomych tych rozsypanych dookoła dziesiątków policjantów też niby nie dostrzegających demonstrantów. Jeden jedyny transparent wypisany atramentem głosił: „Skończyć wojnę w Wietnamie". Tysiące ludzi przechodzących, uśmiechało się, wzruszało ramionami, turyści fotografowali scenę i wszyscy zdawali się być zadowoleni. Następnego dnia prasa doniosła, iż aresztowano 14 osób, które będą na Bond Street (sąd drobnych przestępstw) odpowiadać za zakłócenie porządku. Koniec i kropka.

Dziwny to kraj, gdzie manifestacja polityczna przypomina ludowe jasełka a koncert piosenek ludowych kończy się jednoznaczną polityczną demonstracją.

TADEUSZ GICGIER

DROGA PRZEZ LAS

To było w czasie, gdy zaczęła mi opowiadać o swym dzieciństwie. Rodzicom powodziło się wtedy dobrze, mieszkanie mieli zasobne, składało się ono z kilku pokoi. W pamięci utkwiły jej najbardziej wieczorne kąpiele, po których matka niosła ją na rękach do łóżka, niosła ją długo, bo sypialnia była ostatnim pokojem, tam okrywała kołderką i całowała na dobranoc. Kiedy tak opowiadała, zacząłem powoli wierzyć, że to ja nosiłem ją do łóżka po tych kąpielach. Powiedziałem jej o tym, a ona, zamiast mnie wyśmiać — stała się nagle poważna, to możliwe, powiedziała, to bardzo możliwe, w pokojach było ciemno, wszystkiego dobrze nie pamiętam.

Szliśmy leśną drogą między brzozami, biel pni przyblakła teraz przy bieli gałęzi, bo w nocy spadł śnieg, śnieg tak puszysty i lekki, że utrzymał się na zwisających pionowo cieniutkich gałęziach.

Wtedy właśnie, przejęta świeżością śniegu i zimowego poranka, zaśpiewała mi tę przedziwną piosenkę:

„Znów tańczyć, śpiewać, obiecywać
i wirować w rytmie mocnych strun,
różane płatki rozsypywać,
nic nie wiedzieć o jutrzejszym dniu."

Droga skończyła się, przed nami były puste, białe pola, i nagle poczułem nieodparta chęć ucieczki w tę białą pustkę, ucieczki od niej i od siebie, od człowieka, który mógł się nazwać wreszcie szczęśliwym i wyzwolonym, a którego przygniótł straszliwie ciężar szczęścia. Którego przeraziła pełnia tego szczęścia i zapragnął je natychmiast zburzyć.

Zawróciliśmy tą samą drogą, między śladami kół chłopskiego wozu, który musiał przejeżdżać tędy o świcie, szliśmy znów razem, lecz mnie już tam nie było, tak mocno zapragnąłem być sam. Więc szedłem sam, bo ona odjechała, na odległość jednej i drugiej ręki miałem biały las, ale nie wyciągałem rąk, bo chciałem wierzyć, że to są bielone ściany. A może nie bielone, może kładzie się na nie tylko odblask księżyca, i znów wydało mi się, że niosę ją na rękach do sypialni, tym razem znużoną tańcem i wirowaniem, ona mówi: lubię zapach twojego potu, i teraz ja poważnieję, i powinienem jej powiedzieć, że chcę znowu czuć słony smak jej ciała, ale nie mówię jej tego. Nie mówię zresztą nic, bo obezwładnia mnie wielkie pragnienie, pragnienie powrotu z białej pustki, pójścia znów razem przez zimowy las, na którego krańcu tak straszliwie przygniótł mnie ciężar szczęścia, że zapragnąłem je natychmiast zburzyć.

DWIE GODZINY LATA

Wagon wystukiwał szorstką kołysankę dla znużonych i umęczonych. Zapadłem w ciężką drzemkę po nieprzespanej nocy. Przez uchylone okno wagonu wtargnął mocny zapach rozgrzanego porannym słońcem, sosnowego lasu i wyrwał mnie z tej drzemki. Dopiero teraz spostrzegłem, że pociąg przestał stukotać i zatrzymał się na jakiejś stacji.

Jechałem w ostatnim wagonie, przed wyjazdem, jak to mi się zwykle zdarza, straciłem znów poczucie czasu, najpierw wydawało mi się, że mam go bardzo wiele, a potem zrobiło się nagle bardzo późno i na peron wpadłem prawie w ostatniej chwili. Ten mój wagon stał ładnych parę metrów od stacji, stał w lesie, wyjrzałem przez okno i zobaczyłem wchodzące na niski nasyp kępy podróżnika, którego zwykle drobne chabrowe kwiatki obrastające chropawą łodygę dorównywały teraz wielkością goździkom. Mogły to być zresztą równie dobrze niebieskie motyle, wielki był urodzaj motyli tego lata, lata bujnego, które przyszło po bujnej zimie.

Pociąg stał ciągle na stacji, widocznie miał się tu wyminąć z drugim zdążającym w przeciwnym kierunku. Wychyliłem się z okna wagonu i odczytałem nazwę miejscowości. Bez namysłu chwyciłem walizkę i wyskoczyłem na peron, po chwili oddawałem ją w przechowalni.

Wiaduktem poszedłem na drugą stronę torów i zapytałem kolejarza, gdzie znajduje się nowe osiedle. Wiedziałem, że w jednym z bloków nowego osiedla mieszkają teraz ona z mężem i małą córeczką.

Kolejarz wskazał mi ulicę nad torami. Więc nie pójdę w stronę rynku, to na pewno lepiej, już ta ulica widziana z wiaduktu przyniosła mi pierwszy zawód, jakoś postarzała się, sczerniała, zbrzydła. Wtedy była zima, bujna zima i uliczka biegnąca w dół od rynku zjeżdżaliśmy na sankach ku zamarzniętej rzece. Któregoś razu jej sanki wpadły na moje, przekora nakazała mi ustawić je tam tak na dole, długo potem bolała mnie noga w kostce, ale pamięć zachowała nie ten ból, a inny: zderzenie się naszych ciał, bardzo mocne i bardzo dotkliwe, tym dotkliwsze, że łączyły nas więzy pokrewieństwa. Nie myślałem wtedy o tym, a jednak musiałem to odczuwać. Jeszcze jeden przejaw fatalizmu, strasznie lubiłem bywać fatalistą w tamtym czasie.

Kuzynka była zaskoczona moją wizytą, próbowała to ukryć, ale nie bardzo jej to wychodziło. Przerzucała w kuchni z kąta w kąt jakieś ściereczki, skrzyczała córkę, która wróciła niezbyt czysta ze szkoły. Przebrała się za drzwiami szafy w kwiecistą sukienkę i wybierała się po zakupy, więc wyszedłem z nią razem, tyle tylko, że zamiast w stronę miasta — zszedłem w dół na łąkę.

Łąka pierwszych moich wakacji była ta sama i ten sam był lasek na wzgórzu. Nie poszedłem jednak na wzgórze, zanurzyłem się w czerwone dzikie szczawie i brnąłem przez nie ku rzece.

Odnalazłem wierzbę, przy której łapałem zawsze ryby, długo przyglądałem się jej gałęziom, czy nie zobaczę na nich zerwanego wtedy haczyka. Rzeka pluskała leniwie, jej wody chybotały się pod wierzbą, leżąc tam w słońcu poddałem się temu chybotaniu, zostałem doniesiony do brzegu tamtego lata. Wyskoczyłem na ten brzeg, uciekłem w tamto lato, w czas, gdy nie musiałem nigdzie uciekać, gdy przyjazd z jednego miejsca na drugie był zwyczajnym przyjazdem, a nie ucieczką, ucieczką z miasta, ucieczką od bliskich, by w parę dni później uciekać do nich z powrotem.

Jechałem znowu ostatnim wagonem, bo znów wbiegłem na peron w momencie, gdy pociąg z niego ruszył. Kuzynka była bardzo zawiedziona, nakupiła różnych wiktuałów, a ja wpadłem tylko się pożegnać. Musiałem jej przyrzec, że przyjadę jeszcze w tym roku z synem, bo przecież nie znam mego syna, a jej córeczka też chciałaby go poznać. Pojedziemy tam chyba zimą, mój syn z jej córką pójdą na pewno na sanki i uliczką biegnącą w dół od rynku będą zjeżdżać ku zamarzniętej rzece.

Rys. P. Picasso

BALOWY EPIZOD

Powitanie nowego roku zainaugurował polonez. Grała go młodzieżowa orkiestra big-beatowa i tylko dzięki nastrojowi sylwestrowemu — każdemu szumiało już w głowie od spełnionych przed chwilą toastów i wymienionych życzeń — można było zaaprobować ten taniec w wykonaniu tej orkiestry. Ruszyliśmy od stolika całym towarzystwem. Nasz mały korowód poprowadził magister, który kroczył pod rękę z ekscentryczną blondynką i śpiewał niestrudzenie, tym razem w takt polonezu, swój noworoczny toast: do siego roku na każdym kroku, na każdym kroku do siego roku.

Potem był walc figurowy, grany również w stylu big-beat. Zawirowały na glansowanej posadzce hallu uniwersyteckiego fraki i smokingi, skojarzone z kusymi, bombiastymi kreacjami pań, zakręciły się czarne garnitury uskrzydlone muszkami wokół długich balowych sukien. Moja partnerka wymieniła kilku tancerzy, ja wyminąłem kilka tancerek i wpadłem w ramiona pani w bladoniebieskim tiulu. Może zresztą tiul był biały, a spód niebieski, wiele tam przeświturywało cudów, nie zwróciłem na to większej uwagi, podobnie jak na słowa tancerki, która wzięła mnie najwidoczniej za kogoś ze swych bliskich znajomych: mówiła coś mianowicie o tym, jak bardzo jest szczęśliwa, że właśnie tańcem ze mną zaczyna nowy rok.

Big-beatowcy poczuli się w swoim żywiole, gdy zagrali wreszcie charlestona. W przerwie między tańcami jeden z nich pokazywał publiczności, co będzie się tańczyć w nowym roku. A więc — surfa, a więc — hully-gully. Miotał nogami otoczony kręgiem ciekawych, klaskał w ręce przechylając się sztywno na boki, pokazywał zęby ni to w uśmiechu, ni to w ekscytacji, błyskały ciągle te zęby i biały pasek wzdłuż jego czarnej muszki. Figurę miał zwinną lecz cherlawą, policzki woskowe, zapadnięte, wyszczerzone zęby mogły tylko rozśmieszyć, co przerazić.

Zeszliśmy na dół do baru. I tu zaczyna się balowy epizod. Przy stoliku pod stylowym kinkietem siedziały dwie dziewczyny. Spojrzałem na twarz jednej z nich, tej szczuplejszej, i w jednej chwili zostałem przerzucony ileś tam lat wstecz i w inną, bo wakacyjną porę roku. To przecież te brwi i te usta, i te ruchliwe nozdrza. Usta dziewczyny z wakacji nad morzem. Nie mogłem oderwać oczu od tych ust, od smukłych palców, między którymi tkwił papieros, palców nerwowych, odgiętych lekko do tyłu.

Dziewczyna poprawiła włosy znanym mi dobrze ruchem. Pamiętam, rozpuszczała je zawsze dla mnie. Raz rozpuściła je przy mym koledze, nic na to nie powiedziałem, ale przez cały dzień chodziłem jak struty.

Dziewczyna uśmiechnęła się — i wtedy zza mych pleców wyszedł młody student. Skłonił się przed nią i poprosił ją do tańca. Za chwilę po schodach stąpały jej szczupłe nogi, kołysząc się lekko na wysokich obcasach.

Przysiadłem się do magistra, który zszedł do baru na kawę, lecz spotkał tu znajomych i wychylał następne toasty. W lustrze między butelkami win i koniaków zobaczyłem swoją twarz. Nie była to już twarz z tamtych studenckich czasów. Skąd więc wzięła się tu z tamtych czasów dziewczyna?

Magister stuknął się ze mną kieliszkiem. Przez chwilę przyglądał mi się uważnie.

— Bo najważniejsza rzecz — powiedział — żebyśmy zdrowi byli.

Z tomu opowiadań „Gorzkie wody", który ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

„PRZEDPROŻE" ZWIĄZKU LITERATÓW

W ostatnich miesiącach prasa łódzka podawała sporą ilość informacji na temat istniejących grup młodych twórców w stolicy polskiego włókiennictwa. Śmiało można stwierdzić, że ruch młodych w naszym mieście w ostatnim okresie przybrał na sile i zapowiada, że w najbliższym czasie „coś się stanie". Chodzi tu o istotne przemiany ideowo-artystyczne w obrębie młodej poezji i krytyki literackiej, przemiany mówiące wbrew niektórym, że wszyscy młodzi piszą na jedną modłę, że są do siebie bardzo podobni, nie stać ich na zajęcie własnego twórczego stanowiska. Krążą nawet dowcipy jakoby tych „młodych gniewnych" można było jedynie rozpoznać po różnej czcionce maszynopisów ich utworów. Dowcipy dobre, ale nie zawsze pokrywające się z rzeczywistością. Nasuwa się tu poważniejszy problem, czy rzeczywiście poezja stała się kwestią mody; maniery itp., czy tylko oko laboranta literackiego potrafi znaleźć w utworach pokolenia wstępującego znamiona indywidualności. Być może, że jak dotychczas tak sytuacja się przedstawia, ale też i można na być dobrej myśli, że coraz więcej znajdzie się czytelników, którzy obdarzeni będą tym dość specyficznym „okiem".

Silnym ogniskiem skupiającym nowe siły twórcze środowiska łódzkiego jest Koło Młodych przy miejscowym Oddziale Związku Literatów Polskich, którego działalność reaktywowano w czerwcu 1963 roku. Zbyt krótki jeszcze okres pracy tej grupy poetów, prozaików, satyryków i krytyków nie pozwala na syntetyczne ujęcie o zabarwieniu historyczno-literackim. Jednak konieczność obalenia pewnych mitów, wytłumaczenia własnych postaw, zbliżenia ich do kręgów czytelniczych zmusza do poświęcenia kilku słów ludziom, którzy odpowiadają w dużym stopniu za stan przyszłej literatury łódzkiej i w ogóle narodowej. Zbyt może to górnolotnie brzmi, lecz w rzeczywistości tak jest, bowiem Łódź coraz bardziej wzbogaca swoje tradycje artystyczne.

Nie miejsce tu na wspominanie zasług grupy „a.r." czy też „Meteora". Zrobili to na innym miejscu bardzo dobrze Brzękowski, Piechal i Przyboś. Trudno jest dziś uchwycić w jakim stopniu młode pokolenie artystyczne powiązane jest z tą chwalebną tradycją. Faktem jest, że na zebraniach Koła Młodych często padają nazwiska ludzi, którzy stworzyli trwałe wartości wchodzące do skarbca kultury polskiej. Bardziej istotne jest tu podkreślenie poszukiwań twórczych nowego pokolenia, nowych dróg pojmowania i przetwarzania rzeczywistości nas otaczającej. Oczywiście, że wkraczanie na nieznane tereny poezji, prozy lub też krytyki musi być ukierunkowane nie tylko własnymi siłami, ale także przy pomocy rad udzielanych ze strony ludzi mających pewne doświadczenie w pracy literackiej.

Spotkania członków Koła odbywają się regularnie co dwa tygodnie, wyjąwszy jedynie przerwę wakacyjną. Koło liczy 21 adeptów pióra, którzy publikowali swoje utwory na łamach prasy łódzkiej i centralnej, a także na antenie Polskiego Radia i Telewizji. Część członków przestąpiła już próg debiutu książkowego i jest znacznie zaawansowana w pracy nad następnymi pozycjami, natomiast inni w najbliższym czasie ujrzą na półkach księgarskich swoje pierwsze tomiki. Z ramienia Zarządu Oddziału ZLP opiekę nad Kołem sprawuje znany łódzki poeta i satyryk, Tadeusz Giegier, który drugi sezon już umiejętnie patronuje działalności młodych, mając przy tym wiele wyrozumienia dla często dość kłopotliwych spraw „buntowniczych" ludzi. Chce tu podkreślić, że współpraca Zarządu Koła z Zarządem Oddziału układa się bardzo dobrze. Marian Piechal, prezes Zarządu Oddziału często uczestniczy w spotkaniach Koła, biorąc zawsze w nich aktywny udział poprzez dzielenie się z młodymi własnymi doświadczeniami literackimi. Piszę o tym, aby zaprzeczyć krążącym po Łodzi plotkom jakoby przy ul. Mickiewicza 8 toczyły się ostre boje między „młodymi i starymi". Owszem, występują pewne sprzeciwy, ale tylko na gruncie czysto literackim, a nie socjalno-bytowym („robienie kariery"?) itp. Taktia tego typu, tzn. jedynie tyczące się spraw warsztatowych, są jak najbardziej pożądane, gdyż przyczyniają się do powstawania nowych problemów i propozycji. Zresztą za wypowiadanie starszym tego rodzaju walki nikt nie będzie winił młodych twórców.

Na gruncie tych sporów zarysowują się indywidualności literackie. Wprawdzie jeszcze trudno mówić o wyraźnie ukształtowanych profilach ideowo-artystycznych. Moim zdaniem nie ma racji Julian Przyboś, mówiąc, że poeta powinien napisać naprawdę własny wiersz przed dwudziestym rokiem życia. Jeżeli w tym wypadku zawierzylibyśmy znakomitemu autorowi „Próby całości", okazałoby się, że co najmniej trzy czwarte członków Koła Młodych nie jest i nie będzie poetami. Różnica wieku poszczególnych poetów tegoż Koła jest dość znaczna, waha się między osiemnastym a trzydziestym piątym rokiem życia. Wiek tu nie jest istotny, a jedynie staż i rozwój twórczy.

Na spotkaniach autorskich zarzuca się, że młode pokolenie literackie naszego miasta nie czuje się związane z Łodzią, że utwory tej generacji pomijają najbardziej charakterystyczne problemy życia codziennego każdego człowieka. Wiadomo powszechnie, że Łódź jest miastem, które tak się kocha, jak i nienawidzi. Trudno byłoby jednak powiedzieć, że wiersze o tematyce wiejskiej muszą powstać akurat na wsi czy w małym miasteczku. A może właśnie robotnicza Łódź, Łódź pełna „cywilizowanego" zgiełku i gwaru wzbudza sprzeciw w młodej naturze poetyckiej i kieruje uczucia tęsknoty za dzicą i swobodą? Jeżeli tak, to i w tym też wielka zasługa samego miasta Łodzi.

Jerzy Jarmołowski, Feliks Rajczak i Kazimierz Świegocki

JAN KOPROWSKI

GARŚĆ WSPOMNIEŃ o STANISŁAWIE MACKIEWICZU

W początkach roku 1966, dokładnie: 18 lutego o trzeciej nad ranem, zmarł w wieku lat siedemdziesięciu STANISŁAW CAT-MACKIEWICZ. Inni znali go dłużej i lepiej ode mnie. A mimo to nie mogę o nim nie napisać. Poznałem go dopiero po wojnie, gdy wrócił do kraju z emigracji. Redagowałem wówczas pismo dwutygodniowe pn. „Kronika" i postanowiłem pojechać do Cata, aby go poprosić o wspomnienie o Jerzym Wyszomirskim, który przecież w jego wileńskim „Słowie" zaczynał karierę dziennikarską, a później w tymże „Słowie" był przez wiele lat naczelnym felietonistą. Prowadzę notatki ze spotkań i rozmów z ludźmi. Z owego spotkania z Mackiewiczem, które odbyło się w jego warszawskim mieszkaniu 15 listopada 1956 roku, pozostały mi następujące zapiski. Przytaczam je tak, jak wtedy zanotowałem.

„Pierwsza wizyta u Cata-Mackiewicza. Cat, po powrocie z Londynu, jest pełen planów i nadziei. Zapytał mnie, ot, jakby od niechcenia, czy i jakie są możliwości wydawania w Polsce pisma. Przez moment pomyślałem, że marzy mu się widocznie wydawanie czegoś w rodzaju przedwojennego „Słowa" wileńskiego. Główny jednak temat naszej rozmowy poświęcony był pamięci Jerzego Wyszomirskiego. Cat wypytywał mnie o szczegóły jego śmierci, a potem powiedział:

— Wiele mógłbym napisać o Wyszomirskim, ale ponieważ żyje jego żona i córka, z pewnych rzeczy trzeba będzie zrezygnować. Wyszomirskiego obserwowałem od początku w jego pracy. To był całkiem pierwszorzędny talent dziennikarski i literacki. Przypominam sobie, jak świetnie opisał kiedyś pewną scenę, widzianą w hotelu przez dziurkę od klucza. Wtedy właśnie pomyślałem sobie: szkoda go na takie duperele. Wkrótce Wyszomirski stał się znakomitym felietonistą. Był pracowity, pisał codziennie, podobnie jak jego starszy kolega — Czesław Jankowski. Owszem, ja wam to wspomnienie napiszę, ale chciałbym wiedzieć, ile mi zapłacicie.

— Nie jesteśmy tak zamożni jak „Przegląd Kulturalny" czy „Kierunki", w których pan drukuje. A czy mógłbym wiedzieć, jakie honoraria płaca panu tamte redakcje?

— Za każdy felieton, bez względu na jego objętość — tysiąc złotych.

— Nas nie stać na tyle. Ale postaramy się zapłacić panu jak najlepiej.

— Niech będzie. Napisze wam to wspomnienie o Wyszomirskim, tylko proszę was o trochę cierpliwości.

Cat przywiózł z emigracji kilka sztuk, którymi chciałby zainteresować Teatr Nowy w Łodzi. Umówiliśmy się, że przyjedzie do nas w początkach grudnia i utwory swoje przeczyta nam na miejscu. Cat nie należy do tzw. ludzi sympatycznych. To zresztą nie jest w stosunku do niego przydatna kategoria oceny. Nie lubi rozmów towarzyskich o wszystkim i o niczym. Jest konkretny, w podejściu do wielu spraw znać na nim wpływ długoletniego pobytu na Zachodzie".

W miesiąc czy w dwa później Mackiewicz istotnie przyjechał do Łodzi starym francuskim „Citroenem". Najpierw siedzieliśmy u mnie w domu, popijając jugosłowiański wermut (Cat powiedział: „Bardzo lubię wermut"), potem złożył wizytę wdowie po Jerzym Wyszomirskim i jego córce, a następnie pojechaliśmy do teatru, gdzie w gabinecie dyrektora Dejmka przeczytał nam swoją jednoaktówkę „Kamil Arago". Nigdy nie zapomnę tego popołudnia. Cat czytał znakomicie, akcentując mocno każde „r", wskutek czego Arago wymawiał jako Arrrago. Do dziś słyszę jego głos i to podwojone czy też potrojone „r". Dejmek był zachwycony nie tyle samą sztuką, ile jej interpretacją przez autora. Ale i sztuka dość nam się podobała. Zdecydowaliśmy wstępnie (pełniłem wtedy obowiązki doradcy literackiego u Dejmka), że wstawimy „Kamila Arago" do wieczoru jednoaktówek, który zamierzamy zrealizować w przyszłości. Mackiewicz zostawił nam również pełnospektaklową „Melinę", która jednak ze względów pozaartystycznych nie mogła wchodzić w rachubę. Dejmek pozostał w teatrze, a my z Mackiewiczem poszliśmy do Malinowej na obiad. Nastawiony byłem na to, że zapłacę również za niego. Był przecież naszym gościem. Ale gdy kelner zapytał, czy policzyć razem, Mackiewicz pośpieszył z odpowiedzią: „Nie, nie, każdy płaci oddzielnie". Wspominam ten szczegół nie dlatego, by rzucić niekorzystny cień na jego zachowanie się. Taki był Mackiewicz. Ale wyznać muszę, że ten jego sposób po prostu mnie zaszokował.

Do zrealizowania wieczoru jednoaktówek doszło dopiero w listopadzie 1960 roku. Miałem już za sobą wiele spotkań i rozmów z Mackiewiczem. Ogłosiliśmy w „Kronice" nadesłane nam przez niego w styczniu 1957 r. wspomnienie o Wyszomirskim pt. „Niewystrzelane naboje". Wspomnienie było świetnie napisane, jak prawie wszystko, co wychodziło spod jego pióra. Gdy przystąpiliśmy do pracy nad jednoaktówkami (oprócz „Kamila Arago", wzięliśmy jeszcze „Siżysia" tegoż Mackiewicza i „Króla w szafie" Jarosława Marka Rymkiewicza), na jedną z prób zaprosiłem ich autora. Mackiewicz cieszył się jak dziecko, dużo mówił nie tylko o tych swoich utworach, ale i o innych sprawach. Pamiętam, że poruszyliśmy wówczas problem nieznajomości literatury polskiej w świecie i zastanawialiśmy się nad przyczynami tego zjawiska. Mackiewicz powiedział: „Będę do upadłego, do zaciekłości bronił swej tezy, że absolutnie decydujące są wpływy języka. Język polski jest po prostu nieznany. Zobaczmy, jak to było w historii. Uniwersalnym językiem w pewnym okresie był język hiszpański. Potem przychodzi ogromna supremacja języka francuskiego. Mikołaj I korespondował ze swoim bratem po francusku, jenerałowie powstania listopadowego w czasie akcji bojowej porozumiewali się ze sobą po francusku. Z tego powodu literatura francuska zyskuje pierwsze miejsce. Kto znający dobrze język francuski i polski może wahać się przez chwilę, że polska poezja romantyczna jest większa od francuskiej poezji romantycznej? Jest większa. To nie ulega kwestii. Ale cały świat zna Wiktora Hugo, a mało kto — Adama Mickiewicza".

Podczas tego samego spotkania, a może wcześniej, przy innej okazji, zagadnąłem Mackiewicza o prasę i dziennikarstwo. Zapytałem go, co sądzi o gazetach polskich na tle prasy zagranicznej. Odpowiedział: „Wie pan, kiedy te nasze gazety będą ciekawsze? Kiedy zaczną pisać o tym wszystkim, co naprawdę społeczeństwo interesuje. Dam panu przykład. W okresie przed ósmym plenum całe społeczeństwo interesowało się najbardziej tym, czy Gomułka dojdzie do władzy. A w gazetach właśnie na ten temat nie było ani słowa. Pan wie, co by to był za temat dla gazet zachodnich! Bo dobre dziennikarstwo jest dziennikarstwem politycznym. O wypadkach na jezdni może pisać każdy, o polityce — tylko człowiek mądry i dowcipny"...

Kiedy przygotowywałem program do „Albumu jednoaktówek", poprosiłem Mackiewicza o krótką notę biograficzną i wypowiedź odautorską. Nadesłał jedno i drugie. Sądzę, że będzie celowe przypomnieć, co Mackiewicz napisał o swoich próbach dramatycznych: „Siżysiu" i „Kamilu Arago", zwłaszcza, że jest to wypowiedź ciekawa i nigdzie (poza programem teatralnym) nie drukowana. Oto jego słowa: „Siżyś" jest montażem scenicznym listów Zygmunta Krasińskiego. Listy te to arcydzieła prozy polskiej. Są poetyczne, jak poezja Krasińskiego, ale są bardziej od znanych utworów Krasińskiego nowoczesne, wyprzedzają swą epokę, są bardziej impresyjne, nieomal abstrakcyjne — muzyka słowa góruje w nich nad treścią. Krasiński nie oddałby ich do druku, bo krytycy jego czasów uznaliby je za dziwactwa. Cudna, czarowna jest muzyka słów tych listów, czytając je przypominamy sobie, że Krasiński z tych samych pochodzi czasów co Szopen. Powyrywałem z tych listów zdania przepiękne, dostosowałem do nich na chybił-trafił sytuacje sceniczne. „Poeta" w tej komedyjce, z wyjątkiem kilku zdań zaledwie, mówi autentycznym tekstem listów Krasińskiego, a dłuższe opowiadanie Delfiny także jest przepisane z jednego z listów. „Siżyś" to eksperyment, czy można ożywić człowieka umarłego tym, że się powtarza autentyczne własne jego słowa. Zauważcie jak nie ma tam zbiegu spółgłosek w tych słowach Krasińskiego, jak ta mowa polska przez niego wypowiadana nie piszczy, nie skrzypi, nie jęczy. Nie — to nie skrzypce, to fortepian Szopena, w którego klawisze uderza się raz miękko, czule, rzewnie; raz mocno, wyraziście, donośnie.

BINEM HELLER **Przekład Horacego Safrina**

POMNIK

Szymon bar Gijora na ścianie kalekiej.
Przeszły tysiąclecia, a on trwa na wieki.

Poprzez wszystkie czasy, poprzez mąk otchłanie
pomnik po nim żywy — Polska pozostanie.

Rzeki w dal pobiegną, wicher zły zawyje,
ale żaden żywioł z murów go nie zmyje.

W miastach spustoszonych osiędą potomni,
ale każdy kamień jego czyn przypomni.

W każdej piędzi ziemi strzęp naszego ciała,
nasza krew, co w ogniu walki rozgorzała.

Szymon bar Gijora, na ścianie kalekiej.
Przeszły tysiąclecia, a on trwa na wieki.

Z głową podniesioną, z mieczem gniewu w dłoni
piersią nieulękłą murów getta broni.

Usprzątnijcie gruzy, wznieście nowe domy!
Może znów się stanie dla świata widomy.

Najdźwięczniejsza lutnia jemu się rozdzwoni.
Wieczna pozostanie nasza pamięć o nim.

Szymon bar Gijora — bohaterski obrońca murów Jerozolimy.

Krasińskiego spieszczale nazywano Siżysiem. George Sand nigdy nie była kochanką Krasińskiego, ale mogła nią być, temperamentu jej nie brakowało; kiedy była z Mussetem w Wenecji, i kiedy Musset przez kilka dni leżał chory w łóżku i był niedołężny, to George Sand na te kilka dni wzięła sobie na kochanka tego lekarza, który przychodził do hotelu, aby Mussetowi zapisywać jakieś proszki. W akcji „Siżysia" chciałem uśmiechnąć się czule i bez potępienia do romantyzmu, który tak pięknie deklamował i nie zawsze z deklamowanych zaklęć wyciągał życiowe konsekwencje. Akcja „Siżysia" przypomina, że istniały czasy, kiedy arystokracja polska była uważana za najpożądańszych i najwspanialszych gości w najdroższych hotelach europejskich, tych właśnie, w których dziś emigranci, jeśli się pojawiają, to chyba dlatego, aby koło kuchni myć talerze i inne naczynia.

Jeśli „Siżysia" nazywam komedyjką, to „Kamil Arago" jest chyba dramacikiem. Emigrant, człowiek wyobcowany od swoich, marzy o powrocie do przeszłości. Chce ją przywołać z powrotem. Przeszłość ta istotnie przychodzi i szczerzy do niego ironicznie zęby.

Kiedyśmy w r. 1940 byli modni w Londynie, do ówczesnego polskiego ministra Obrony Narodowej, byłego kustosza krakowskiego muzeum książąt Czartoryskich, prof. Mariana Kukiela przyszedł korespondent „Daily Telegraph" z kwestionariuszem. Minister zdał odpowiedzi na swego adiutanta, o którym wszyscy wiedzieliśmy, że wspaniale mówił po angielsku. Ten adiutant na pytanie kwestionariusza, jakiego ministra ma konika, po angielsku „hobby" — odpisał: służba wojskowa. Te dwie sztuczki teatralne to „hobby" starego dziennikarza politycznego".

* ☆ *

Niekroć przyjeżdżałem do Warszawy, umawialiśmy się z Mackiewiczem na spotkanie albo w jego domu przy Jezuickiej albo na Foksal w Klubie Dziennikarza, gdzie zwykle jedliśmy obiad. Mackiewicz przyjeżdżał na Foksal taksówką (nie miał już własnego wozu), towarzyszyła mu pielęgniarka, pani Zosia, która się nim opiekowała. Autor „Dostojewskiego" był już chory, poruszał się z trudem i o lasce. Znowu zaglądam do notatek. Pod datą 7 kwietnia 1961 roku zapisałem: „Zadzwoniłem do Cata i ustaliliśmy, że się spotkamy u Dziennikarzy na obiedzie. Przyszedł punktualnie jak zawsze. Przy obiedzie rozmawialiśmy dużo (jak zwykle) o różnych sprawach i ludziach. O Czesławie Jankowskim, o Jerzym Wyszomirskim, o emigracji polskiej, o teatrze. W pewnej chwili Cat powiedział:

— Mam pomysły do dwu sztuk, ale nie wiem, czy warto je napisać. Niech mi pan poradzi. Otóż tematem jednej ze sztuk byłoby następujące założenie: nie było rozbiorów, Polska jest niepodległa i posiada własny parlament, jest druga połowa dziewiętnastego wieku i wypadki toczą się swoim torem. Chciałbym w tej sztuce pofantazjować na temat, co by było, gdyby... A utwór drugi, z grubsza biorąc, sprowadzałby się do rzeczy następującej. Jest człowiek, w Polsce naturalnie, ale pod zaborami, który uchodzi za wielki autorytet moralny, jest szanowany, ceniony, uważany nieomal za świętość narodową. A z drugiej strony ten sam człowiek chodzi chyłkiem do ochrany carskiej i dostaje pieniądze za usługi.

— Byłaby to więc sztuka o Stanisławie Brzozowskim?

— Tak.

— A czy jest pan pewien tego, że Brzozowski był konfidentem carskiej ochrany?

— Najzupełniej. Nie mam żadnych wątpliwości, że pobierał pieniądze od ochrany. A przecież nie mógł ich dostawać za darmo.

Nie pamiętam, co mu na to odpowiedziałem, bom w dzienniku swoim nie zanotował. Myślę jednak, że zachęcałem go do napisania sztuki o polskim parlamencie dziewiętnastowiecznym, a odwodziłem od sztuki o Stanisławie Brzozowskim. W każdym razie dziś takiego byłbym zdania. Do sprawy Brzozowskiego wracaliśmy nieraz w naszych rozmowach. Mackiewicz był nieprzejednany, uważał, że Brzozowski odznaczał się od młodości chwiejnością charakteru, co nie pomniejsza jego talentu literackiego, ale pomniejsza jego morale. Żadna argumentacja z mojej strony nie była go w stanie przekonać. Miałem wrażenie, jakby znał Brzozowskiego osobiście i żywił do niego jakąś zadawnioną urazę.

Wyciągam jeszcze jedną kartkę z dziennika. 10 sierpnia tegoż 1961 roku. Zapisałem: „O godzinie 17 wizyta u Cata-Mackiewicza w jego mieszkaniu. Gdy Cat otworzył mi drzwi i przywitałem się z nim, powiedziałem, jak zazwyczaj mówi się w takich chwilach: „Dobrze pan wygląda". Cat rozzłościł się. „Proszę, niech mi pan nigdy tego nie mówi. Nie lubię". Dowiedziałem się później od pani Zosi, że jest zadowolony, gdy o jego wyglądzie mówi się źle. Osobliwe upodobania. Weszliśmy do środka. Cat usiadł przy stole i kończył podwieczorek. Był w domu sam. Wziął do ręki „Trybunę Ludu".

— Widzi pan, w dzisiejszym numerze jest artykuł Jaszcza o Stawarze. Jaszcz pisze, że Stawar w swojej książce o Dostojewskim polemizuje ze mną. Postarałem się o tę książkę jeszcze przed południem. Przeczytałem ją, nie ma tam ani słowa o mnie, ani o mojej książce. Więc gdzież ta polemika, o której pisze Jaszcz?

— Może ma on na myśli pośrednią polemikę Stawara, który po prostu patrzy inaczej niż pan na Dostojewskiego.

— Ach, to się tylko tak mówi. Polemika to jest polemika. — Nie mógł się uspokoić. Ale gdy wreszcie nieco ochłonął, zaczął z innej beczki.

— Mam ochotę napisać dwie książki, ale niech mi pan powie, którą z nich miałaby większe powodzenie? Otóż jedna byłaby o filozofach francuskich XVII wieku: Wolterze, Monteskiuszu i innych. A druga o królowej Jadwidze.

— Rzecz o filozofach zaciekawi węższy krąg czytelników — powiedziałem — głównie środowiska intelektualne. Książka o królowej Jadwidze może natomiast liczyć na szerszą poczytność i zainteresowanie. Najlepiej byłoby napisać i jedno i drugie.

— Chyba tak zrobię — odpowiedział po namyśle Cat.

Nie napisał żadnej z planowanych książek. I nigdy ich nie napisze. Mimo, iż z pewnością byłyby to książki ciekawe, można o nim powiedzieć, że wystrzelał wszystkie naboje. Napisał, co chciał i ile chciał. Kiedy człowiek umrze, życie jego uzyskuje wymiar ostateczny. Nic już w tym życiu nie można zmienić, niczego niepodobna odwrócić. Dopóki człowiek żył, widzieliśmy fragment jego życia. Po śmierci widzimy całość. Nabierają innego znaczenia szczegóły wyolbrzymione lub pomniejszone, prawda o życiu ludzkim staje się bardziej obiektywna, bardziej sprawdzalna.

Stanisław Mackiewicz nie pasował do naszej powojennej epoki. Wyznawał poglądy, które trudno byłoby zaakceptować. Świat rychło zapomni o Mackiewiczu — polityku i działaczu. Ale nie zapomni o nim jako pisarzu. Mackiewicz posiadał rzadki dar: umiał pisać jasno, obrazowo i z fajerem. I z niezwykłą bezpośredniością. Jego książki czyta się z najwyższym zainteresowaniem. Nawet, jeżeli się z nim nie zgadzamy. Zwłaszcza wtedy, gdy się nie zgadzamy. Oddajmy mu sprawiedliwość: Cat nie tylko się mylił. Często miewał rację. Przeczytajcie jego „Książkę moich rozczarowań". Trudną do zdobycia, bo wydaną w 1939 roku, w przededniu wojny. Przeczytajcie „Londniszcze" i „Zielone oczy". Wiele jest tam rzeczy słusznych i mądrych.

Zmarł człowiek, ale zostały jego książki, do których będziemy wracać. Będziemy się z nimi zgadzać i będziemy się spierać. Bo prawdziwe życie książek jest właśnie takie.

---

tkwią świadomością w żywotnych sprawach przyrody. Tak, to są naprawdę żywotne problemy człowieka sztuki, który nie może pogodzić się z zalewem technicznym. Pierwszy z wymienionych poetów ucieka wyobraźnią do obyczajów, obrzędów ludowych, parodiuje gwarę, próbuje stawiać na jednej płaszczyźnie zło i dobro, poddawać wątpliwości zastałe wartości moralne. Z zawodu jest technikiem-energetykiem... Rajczak widzi w atmosferze wiejskiej najczystsze źródło poezji, poprzez stosowanie w wierszach elementów folklorystycznych, nadaje świeżego tchnienia rzeczom i zjawiskom na pozór bez barwnym. K. Świegocki zapuszcza się w głąb studni przeszłości pełnej baśni i nadrealnych snów, i dzięki ustawicznemu kreacjonizmowi elementów przeszłych zbliża rzeczy odległe i nieuchwytne zmysłami do zasięgu poznania i istniejącej rzeczywistości.

Andrzej Biskupski przeprowadza sondaże na terenie samego języka, świadomie deformując składnię uzyskuje nowe pola znaczeniowe wiersza. Na przykładzie jego utworów daje się zauważyć wyraźne dziedzictwo Norwida świeżo i dość oryginalnie pojmowane. „Antymetafory czny" jest Jan Janiak, który wziąwszy za punkt wyjścia poetykę Tadeusza Różewicza idzie dalej, tworząc ze zbitek słownych interesujące efekty semantyczne.

Mieczysław Szargan, może najbardziej znany czytelnikom z wszystkich członków Koła, reprezentuje typ poezji zaangażowanej w najważniejsze problemy polityczno-społeczne, ale jest też i subtelnym lirykiem, wdrażającym się w intymne uczucia nie tylko zakochanych, lecz również starców i dzieci.

Roman Gorzelski i Janusz Królikowski utworami swoimi czują się silnie związani z Łodzią i w ogóle z problematyką moralną i społeczną wielkiego ośrodka miejskiego. Pierwszy wyraźnie nawiązuje do poezji anglosaskiej (jest także jej tłumaczem), stosując często motywy z muzyki murzyńskiej (blues). Królikowski, autor tomiku „Las otwarty dla wspomnień", który ukaże się jeszcze w bieżącym roku, odrzuca w swoich utworach maskę poezji intelektualnej, używając najcześciej groteski i motywów balladowych.

Jedyna przedstawicielka płci pięknej w Kole, Halina Sobczak-Jarmołowska reprezentuje typową poezję kobiecą. Wprawdzie ten termin, tzn. poezja kobieca, ostatnio jest przez krytykę mocno poddany dyskusji, to jednak w odniesieniu do tej poetki zupełnie odpowiada. Wieczne pożegnania i powroty, zamyślenie nad sprawami codzienności ujęte w delikatną, ale trwałą formę — to wiersze Jarmołowskiej.

Jan Karolak, „poeta w pelerynie" — jak to określił ongiś jeden z piszących na łamach „Odgłosów", podobnie jak i jego kolega Maciej Rymwid Kononowicz celuje w miniaturach erotycznych, przy czym drugi z nich może mniej zaskakuje pointą, gdyż napięcie intelektualne równomiernie rozładowuje w całym utworze.

Nowe „nabytki" — Grzegorz Kościński i Dominik Opolski, to interesujące postawy poetyckie. Kościński dąży do kondensacji, nadania ciągu logicznego skojarzeniom, Opolski natomiast rozwija wyobraźnię nad realistyczną, pragnie wedrzeć się w świadomość tzw. ludzi poza nawiasem życia, pijaków, psychicznie chorych itd.

Wystawione powyżej „cenzurki" zapewne nie odpowiadają całkowicie stanowi poezji młodych twórców skupionych przy Oddziale ZLP. Pragnąłem tylko zasygnalizować, że „coś w trawie piszczy", że nie tylko są poeci, którzy szczerze i chętnie niosą własne słowo w życie, chcą nie tylko zrozumieć człowieka, ale go tworzyć, projektować. Utwory członków Koła stawiane są w ostrym, rzeczowym świetle krytyki Jerzego Padeckiego, Henryka Pustkowskiego i Sławomira Świontka — nowego pokolenia łódzkiej krytyki literackiej. Znani oni są czytelnikom „Odgłosów" z recenzji książek wydawanych przez Wydawnictwo Łódzkie. Każdy z tych krytyków dysponuje bogatą wiedzą z zakresu literatury, sztuki i filozofii, dzięki czemu może śmiało stawiać pierwsze kroki w teorii szeroko dyskutowanej na zebraniach Koła.

W chwilach załamań, modnej frustracji i alienacji „dopiekających się adeptów poezji" na pomoc przychodzą satyrycy, Feliks Rajczak i Edward Pałczyński, celując zwartą formą dowcipnych fraszek, często może aż nadto przeintelektualizowanych jak w przypadku Rajczaka.

Obok spotkań o tonie nieraz nudnym i zalatującym akademizmem, zdarzają się wieczory pełne ożywionych sporów i namiętnych dyskusji, na których najczęściej ujawniają się wtedy własne osobowości i stosunek do tradycji i teraźniejszości literackiej. Całe Koło nie stanowi grupy o sprecyzowanym programie i nie zamierza go tworzyć. Występują zbyt duże zróżnicowania pod względem widzenia i pojmowania rzeczy, zjawisk i ludzi. Jest to jeszcze jednym poświadczeniem, że moda nie zagraża młodym łódzkim pisarzom. W ostatnich tygodniach poczyniono starania w kierunku porozumienia i załagodzenia pewnych zbytecznych nieporozumień z innymi grupami literackimi, istniejącymi na terenie Łodzi. Pierwszego kroku już dokonano; rozpoczęto współpracę z Korespondencyjnym Klubem Młodych Pisarzy przy ZW ZMW. Kontakty tego rodzaju sięgają także poza granice miasta i województwa. Część członków Koła uczestniczyła w wieczorze zorganizowanym przez podobne Koło we Wrocławiu, skąd przywieziono ze sobą interesujące i bogate wrażenia. Niedawno wrocławianie odwiedzili z kolei swoich łódzkich kolegów. Tak więc pierwsze „zagraniczne" kontakty są zawiązane; teraz najprawdopodobniej nastąpi zbliżenie z Koszalinem, do którego przyczyniła się w pewnym stopniu II Łódzka Jesień Poetycka.

Coraz aktywniejsze jest Koło, członków jego łączy przede wszystkim ciągłe poszukiwanie nowych dróg określenia własnej osoby, jej miejsca stania i stawania się we wszechświecie, jak by to określił Teilhard de Chardin. Przynależność do tej grupy nie traktują jako przedproże, czy też przedszkole Związku Literatów Polskich, nie łudzą się tym, że będą żyć tylko z pióra. Są zupełnie tacy sami jak inni; pracują, studiują, literaturę traktują nie jako hobby, lecz jako codzienną i konieczną strawę duchową. Więc może oni, nie ci zza biur sztywni, dystyngowanie elegancy i inteligentni, a ci, młodzi, zwykli, w szarych ubraniach, czasami głodni i nie wyspani są najbliżej życia? No, ale nie mówmy „hop", bo sędzią jest czas miłościwie nam panujący.

MARIA KORNATOWSKA

TRAGEDIA POSPOLITOŚCI

Jeszcze do niedawna tragedia była zaprzeczeniem pospolitości. Rozgrywać się zwykła na wyżynach społecznych, na dostojnym tle zamków, pałaców, salonów, pól bitewnych. Towarzyszyły jej surmy, werble lub co najmniej bębny epoki. Była przywilejem ludzi niezwykłych, pięknych, bohaterów, władców, dobrze urodzonych. Owiana nimbem patosu i wzniosłości przeczyła jak najbardziej poczuciu równości i demokracji.

Postęp społeczny i w tej dziedzinie przyniósł niemałe zmiany. Jesteśmy świadkami deklasacji bohatera tragicznego. Tragizm przestał być przywilejem, stał się udziałem mas. I w związku z tym zapewne, trzeba przyznać, stracił dużo ze swego uroku. Nasza epoka obfituje w wiekopomne wydarzenia i wyczyny, że wspomnę choćby loty kosmiczne. Człowiek stał się czymś nieskończenie wielkim. I tym bardziej dojmującą stała się jego małość. W cieniu wielkich uczonych, bohaterów kosmosu, gwiazd filmowych żyją miliony przeciętnych, pozbawionych blasku i rozgłosu postaci. Blichtr współczesnej, plastikowej cywilizacji przesłania nam często prawdziwy obraz życia tych ludzi, życia nas samych. Tkwimy w świecie pozorów i wygodnych, kolorowych mitów. Jeżeli rozprawiamy o alienacji, frustracji, chorobie wieku itd., to też staramy się o wytworną oprawę, piękne dekoracje, kostiumy, twarze bohaterów. Nawet to ładnie wygląda, aż przyjemnie popatrzeć, choć takie smutne i przejmujące. Cesare Zavattini powiedział, że funkcją sztuki filmowej winno być otwieranie oczu człowieka na otaczającą go najbardziej zwykłą i codzienną rzeczywistość, której zazwyczaj może dlatego, że tak mu bliska, nie dostrzega. Jest to wbrew pozorom funkcja najtrudniejsza i wymagająca największej odwagi. Cóż bowiem pociągającego w odkrywaniu pospolitości, szarzyzny, przeciętności... A przecież dziś tragizm losu ludzkiego (a o to między innymi chodziło Zavattiniemu, gdy walczył o swoją koncepcję neorealizmu) przejawia się właśnie w przeciętności, odartej z patosu i wzniosłości, przeciętności, wśród której upływa całe nasze życie i na którą jesteśmy skazani. Jest to zapewne najsmutniejsza i najbanalniejsza z prawd. I dlatego tak trudna do przyjęcia. Umberto D. — stary emeryt z filmu de Siki jest bohaterem tragicznym nieświadomie i bez możliwości wyboru. Podobnie jak bohater „Posady" Olmiego, jak Piotruś z filmu Formana lub dziewczyna z „Miłości blondynki" tegoż reżysera. Myślę, jestem przekonana, że te filmy należą do najszlachetniejszego i zarazem najpiękniejszego nurtu współczesnego kina. Rezygnują z ornamentyki i atrakcyjnej mitologii, z wirtuozerii technicznej i nawet uznania publiczności. Walczą o prawdę. Znakomity krytyk francuski A. Bazin nazwał włoski neorealizm jedyną sztuką reprezentującą w okresie powojennym wielki rewolucyjny humanizm. Sądzę, że tę tradycję rewolucyjnego humanizmu, prawdziwie ludzkiego i głębokiego zaangażowania się w sprawy człowiecze kontynuuje dziś z ogromnym powodzeniem kinematografia czeska. Niemal każdy nowy film czeski przynosi nam tego świeże dowody. Ostatnio mamy szczęście oglądać na naszych ekranach jeden z tego rodzaju właśnie filmów „Miłość blondynki" Formana.

Wszystko w tym filmie jest banalne: historia, bohaterowie, finał. Forman nie boi się jednak banalności, odsłania ją w całej okazałości, nie popadając ani w egzystencjalny patos, ani łzawą melodramatyczność. Tworzy tragedię pospolitości. W „Miłości blondynki" jest coś z klimatu wielkich filmów Chaplina. Bohaterowie Formana są śmieszni i tragiczni zarazem. Ich tragizm pozbawiony jest wielkości, tkwi w ich przeciętności, w banalności ich losu. Podczas projekcji śmiejemy się nieustannie z zachowania, powiedzeń, perypetii postaci Formana i wychodzimy z kina jak po „Gorączce złota" z uczuciem ogromnego smutku. W najzwyklejszych, najcodzienniejszych sytuacjach Forman potrafi odkryć i ujawnić momenty autentycznego dramatu. Potrafi przeniknąć przez osłonę pozorów i odsłonić smutne twarze swych śmiesznych, pospolitych bohaterów. I czyni to zarazem z ogromnym ciepłem, życzliwością i współczuciem.

Dramat dziewczyny z „Miłości blondynki" nie ma w sobie nic wyjątkowego. Pozornie nie jest nawet dramatem. Jest drobnym epizodem, być może bez większego znaczenia w dalszym życiu bohaterki. Ale Forman pokazuje, że całe nasze życie składa się właśnie z takich epizodów, z monotonii i szarzyzny, z rozpaczliwych prób ucieczki i pełnych rezygnacji rozczarowań. W tej egzystencji ludzi łączy wspólny los i dzieli samotność, wzajemne niezrozumienie. Film Formana może dlatego czyni tak wielkie wrażenie, że pozbawiony jest jakiegokolwiek efekciarstwa, „filozoficznych" pseudogłębi, pretensjonalnych ozdobników. Wydaje się podpatrzony i podsłuchany. Wydaje się być samym życiem, złapanym na gorącym uczynku istnienia. Zdumiewa wnikliwość obserwacji Formana. Potwierdza się czechowowska formuła liryzmu i poezji tkwiącej w pokornej, niemal naturalistycznej rejestracji faktów. Prawdy, które odkrywa czeski reżyser są wstrząsające. Tym bardziej, że stykamy się z nimi na co dzień i nie potrafimy ich zobaczyć. Przypomnę tu chociażby znakomitą sekwencję zabawy.

Rzecz w tym, że u źródeł filmu tkwi głęboka wiedza twórcy o ludziach i życiu. Jakżeż zabawne i niepoważne wydają się w obliczu „Miłości blondynki" odwieczne utyskiwania polskich filmowców na brak scenariuszy i tematów. Scenariusze, panowie, chciałoby się rzec, leżą na ulicy, w małych miasteczkach, w pokojach hoteli robotniczych, w świetlicach, w mieszkaniach zjadaczy telewizji. I żaden najbardziej pomysłowy i zręcznie zrobiony scenariusz nie zrodzi arcydzieła, skoro twórcy filmowi nie nauczą się patrzeć i widzieć. Ale czyż z drugiej strony można sobie wyobrazić szanujący się film polski zrobiony w sposób tak mało efektowny, tak nieciekawy jak „Miłość blondynki". Film bez atrakcyjnych kociaków, cepeliowskich wnętrz, ekskluzywnych dansingów i trunków. Film nie epatujący widza wymyślnością oprawy i rozwiązań, nie próbujący go oczarować iluzją „pięknego" świata. Pięknego na miarę dość ograniczonych wyobrażeń poniektórych twórców. Film bez Pingwinów i Beat, bez upajania się pseudonowatorstwem, pseudoromantyzmem i całym szeregiem różnych innych pseudo. Tak więc nie łudźmy się. Zapewne tak szybko nie zobaczymy polskiego odpowiednika „Miłości blondynki".

KRONIKA Antytelewizyjna

ZNOWU CZTERY MIASTA

Rozrywkowy konkurs czterech miast miał tym razem temat: „Polowanie na lekkiego zwierza". Czy polowanie się udało? Temat nie krępował, choć motyw polowania przewijał się przez wszystkie teleaudycje. Po pierwszym konkursie pisałem, że wolelibyśmy jedna dobra audycję zmontowana ewentualnie wspólnym wysiłkiem. Krótsza, bardziej zwartą i dowcipniejsza. Nawet gdyby przez dwie godziny raczono nas najprzedniejszą rozrywką, zmęczylibyśmy się, jako że nadmiar w każdym wypadku jest naruszeniem konwencji i... kondycji!

Jak wyglądałby taki turniej przed wojną? Można mieć pewność, iż każde z miast sporo miejsca poświęciłoby swojej regionalnej specyfice. Na skutek różnych, skądinąd pozytywnych procesów socjalnych i gospodarczych nastąpiła pewna niwelacja, zubożenie form życia: coraz trudniej o charakterystyczne typy ludzkie, zanikną folklor miejski wraz z marginesem w postaci przedmieść, które dziś znaczą zupełnie co innego, zaniknęła spontaniczność i malowniczość pewnego rodzaju wypowiedzi, orkiestry nie chodzą po podwórkach, nie powstają balady podwórzowe. Nasza rozrywka to przemysł chałupniczy, zrzeszający jego producentów w ZAIKS-ie.

A więc charakter audycji nie zależy w tym wypadku od momentów etnograficzno-geograficznych.

Cztery miasta — Wrocław, Kraków, Szczecin i Poznań — wystąpiły z samodzielnymi programami, przedstawiając rozmaite treści w ramach jednego tematu. I znowu w sumie nie było to łatwe do strawienia, nawet wypowiedzi członków sądu konkursowego brzmiały dość pesymistycznie. Ludwik Sempoliński wspomniał po prostu o nudzie i braku humoru, aczkolwiek wydaje mi się, że drugi turniej był lepszy od poprzedniego, pokazał programy wyraźniej skomponowane, zaś Szczecin wystąpił z dość zwartą kompozycja z podtekstem filozoficznym, bardzo przy tym nie zdawkową. Kompozycja ta jednak nie miała w sobie absolutnie nic z rozrywki, byłaby cokolwiek przyciężka nawet w programie o jakimś innym charakterze.

Ujałbym się za Poznaniem, wolno bowiem mniemać, że jego program „poszczucie humoru" trafiał jednak w pewną żywą wadę narodową, dziś kultywowaną raczej kosztem społecznym. Końcówka, nawiązująca do „bez apelacji", mogła być wyjściem dla doskonałej audycji parodystycznej. Bogactwo elementów widowiskowych, potraktowanych w sposób komunikatywny, mogło się podobać „szerokiemu widzowi", oczywiście, nie mając żadnych danych, wolno tego tylko się domyślać.

Ambitny był Wrocław, ale parodia jest szczególnie subtelnym rodzajem humoru, może też w dodatku nie mamy w TV zbyt wielu wyraźnych indywidualności, zbyt wielu narzucających się cech charakterystycznych w poszczególnych stałych pozycjach, by parodia zyskując na bardziej szczegółowym adresie, zyskała wyraźne kontury.

Wypada więc powołać się na wspomniana na wstępie konkluzję. Pyszną za to rozrywka był film przedwojenny o Barbarze Radziwiłłównie według scenariusza Anatola Sterna. Rozrywka niezamierzoną, odczytywaną jako

parodia. (Coraz więcej satysfakcji dostarczają właśnie tego rodzaju rozrywki!). Nawet mi się nie śniło, jak bardzo nasz poeta ulegał wpływom właśnie Heleny Mniszek, jeśli chodzi o ujmowanie wydarzeń i widzenie ludzi. Ha!

Z szacunkiem natomiast oglądało się film „Dziewczęta z Nowolipek", w niektórych wypadkach coś jednak naprawdę przedstawiający i przekazujący. Może więc należało go poprzedzić krótkim wspomnieniem o autorce powieści, Poli Gojawiczyńskiej, przecież to mija mało przez kogo zauważona siedemdziesiąta rocznica jej urodzin. Inna rzecz, że zaskakuje fakt, iż TV nie poświęciło tej rocznicy specjalnej uwagi. Jeszcze na to nie jest za późno.

„Jaśnie pan szofer" to wcale zręcznie skomplikowana autentyczna komedia z wątkiem lirycznym. A więc nie było tak źle z przedwojennym ubogim w środki i wyposażenie technicznie polskim przemysłem filmowym. Przecież jeszcze kilka utworów dałoby się przypomnieć nie tylko ze względu na sentyment.

Zawiodło „Oczekiwanie" czekającego na kolejną „kobrę". Myślałem, że rzecz będzie polegać jedynie na wywołaniu i potęgowaniu pewnego nastroju. Można byłoby i tak. Ale okazało się, że to tylko nużąca długa ekspozycja, po której zginie w basenie kąpielowym p. Halina Mikołajska. Jednak zbrodnia doskonała nie udała się, ja zaś współczułem aktorom.

„Szpak" z rocznicowym pokazem swojego dorobku wypadł wcale dobrze, choć wymogi telewizji to zupełnie coś innego niż taka czy inna kawiarnia. Spośród wykonawców z przyjemnością wymieniłbym B. Rylską, Wł. Królikiewicza, T. Olszę, Zenowi Wiktorczykowi — entreprenerowi, mówiąc dawnym językiem — udał się niejeden dowcip, najgłośniej śmiała się z nich p. Hanka Bielicka.

A w ogóle co by to było z naszym kabaretem, z satyrą i poezją, gdyby nie pogardzana „Młoda Polska"! Czasem wydaje mi się, że ma rację poeta, który przed laty kilkoma napisał:

Tam nasz początek. Na próżno się bronić,
Próżno wspominać daleki Wiek Złoty
Nam raczej przyjąć i uznać za swoje
Wąsik z pomadą, melonik na bakier
I tombakowej brzękanie dewizki...

„Waga", sztuka Wacława Bilińskiego w adaptacji i reżyserii Jerzego Walczaka, była zapuszczeniem sondy w tak ważne sprawy jak wymiar sprawiedliwości.

Jeśli nasz humanizm ma się sprawdzać, to przede wszystkim w tej dziedzinie.

Sztuka nie wysuwa propozycji, ale ostrzega. Autor najzupełniej słusznie rozegrał sprawę w konwencji realistycznej. Wszyscy aktorzy dobrze wywiązali się z zadania. Zaleta sztuki była dość umiejętnie poprowadzona akcja, naturalnie brzmiący język, żywy dialog.

Jan Śpiewak, poeta o bogatym i oryginalnym dorobku, nie pozwala scharakteryzować się w jednym czy dwóch zdaniach, ale można powiedzieć, że wybijają się zwłaszcza w jego poematach motywy eschatologiczne, wojna bowiem kazała mu wszystko zakwestionować. Żałowałem, że w audycji wierszy było za mało, bo nie tylko do tej formuły sprowadza się twórczość Śpiewaka.

Jan Huszczy

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Wokół filmu Marlena Chucijewa **„MAM DWADZIEŚCIA LAT"** narosła już olbrzymia legenda. Nie ma ona nic wspólnego z reklamą, która starannie spreparowana podbija cenę filmu jeszcze przed wejściem na ekrany. Owa legenda dotyczy spraw najbardziej istotnych dla tego właśnie dzieła. Na początku 1963 roku materiały filmu Chucijewa były już gotowe. Roboczy tytuł „Mam dwadzieścia lat", pod którym jeszcze w 1961 roku opublikowano scenariusz w miesięczniku „Iskusstwo Kino", zamieniono na nowy — „Strażnica Iljicza". Film niedługo miał wejść na ekrany. Lecz wtedy właśnie zaczęła się jego dramatyczna historia. 8 marca 1963 roku Nikita Chruszczow poddał dzieło Chucijewa niezwykle ostrej krytyce w swym słynnym przemówieniu na spotkaniu z działaczami literatury i sztuki. Zarzucono twórcom filmu, że ukazują młodzież radziecką w świetle idei sprzecznych z normami i moralnością komunistyczną. Bo skoro młodzi bohaterowie nie wiedzą, jak żyć, skoro są między nimi cynicy i pasożyty społeczne, to znaczy, że obserwacji i oceny młodzieży dokonuje się w filmie z pozycji obcych społeczeństwu komunistycznemu, a więc szkodliwych — głosili interpretatorzy. I film znalazł się na indeksie. Trzeba było dopiero ostatniej radzieckiej „odwilży", nowego spojrzenia na sprawy kultury i sztuki oraz ich roli społeczno-politycznej, żeby praca nad filmem została sfinalizowana. Film gotowy był ostatecznie pod koniec 1964 roku. I kiedy wreszcie wszedł na ekrany, rozpętał w Związku Radzieckim olbrzymią żywiołową dyskusję. Zabrali głos krytycy, widzowie, twórcy. Można było tego oczekiwać, można to było przewidzieć. Bo w gruncie rzeczy film nie jest niczym innym, jak pierwszym głosem w dyskusji o radzieckiej młodzieży. Jest wypowiedzią mądrego, obiektywnego obserwatora, który postanowił schwycić na gorąco na ekranie ludzi i ich problemy, pokazać głęboką prawdę o ich życiu, nie odwołując się przy tym do żadnego z istniejących w radzieckiej kinematografii wzorców formalnych, kanonów dramaturgicznych związanych z nimi sposobem myślenia. Chucijew i reszta zespołu nie oceniają zatem przedstawianych postaci, nie wartościują ich postaw życiowych i idei z pozycji wszechwiedzącego narratora. Wartościują się wzajemnie jedynie ludzie występujący w filmie, dyskutują ze sobą, polemizują. Wiodą ze sobą dialog dwa pokolenia: dwudziestolatków 1962 roku i ich ojców. Młodzi rozpoczęli swe samodzielne życie już po zdemaskowaniu kultu Stalina. I to od razu określą ich pod względem ideowym. Ci ludzie skazani są na problemy inne niż ich ojcowie, którzy walczyli z hitlerowskim najeźdźcą i różne od tych, które mieli ich dziadkowie robiący rewolucję, stawiający zręby nowego ustroju. Młodzi mają swe trudności, trapią ich różne wątpliwości natury życiowej. Nie zawsze wiedzą, co ze sobą zrobić, jak żyć, jak postępować. Są to problemy, które stanąć muszą przed człowiekiem zawsze, niezależnie od ustroju, bo związane są z istotą ludzkiej natury. Nie można więc rozwiązać ich przy pomocy haseł ideowych ustroju. I za tę właśnie prawdę film był tak krytykowany. Pokazując wszystko z pozycji obiektywnego, a więc pozbawionego stronniczości obserwatora, wychodząc z ukrytymi kamerami na ulice Moskwy, rejestrując na gorąco jej życie, jej ludzi, autorzy filmu stworzyli studium psychologiczno-obyczajowe o wartości dokumentu. To w gruncie rzeczy pierwsze radzieckie cinema-verite. I dlatego mimo niewątpliwych dłużyzn (film trwa całe trzy i pół godziny) jest to dzieło pasjonujące. Pokazuje prawdę współczesnego młodego społeczeństwa radzieckiego. Nie jest to więc — jak chcą niektórzy — film rozrachunkowy. To po prostu uczciwy, odważny w swej rzeczywistości, obiektywizmie sfabularyzowany dokument. A jednocześnie — jeden z najwybitniejszych filmów kinematografii światowej 1965 roku. W festiwalu weneckim podzielił się specjalna nagroda „Cinema Nuovo" z filmem Bunuela „Szymon Słupnik". Było to przepieczętowaniem wielkiego sukcesu. Zasłużonego sukcesu.

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Powieść Carlo Cassoli, której adaptacją jest film Luigi Comenciniego „JEGO DZIEWCZYNA" zyskała w swoim czasie pozycję bestselleru we Włoszech i we Francji. Czy film powtórzył ten sukces? Nie znam samej powieści, nie mogę więc dokonać porównania adaptacji i pierwowzoru. Jedno wszakże jest bezsporne: nie pomogła nawet Claudia Cardinale w roli głównej bohaterki Mary — film nie ma najmniejszych szans stania się przebojem, „bombą" ekranu. „Jego dziewczyna" to nic innego, jak włosko-francuskie wydanie naszych osławionych socrealistycznych dramatów społeczno-psychologicznych. Siedziałam na seansie i myślałam z przerażeniem: oto wstał z mogiły upiór tak bardzo nam nienawistny i straszy, straszy z ekranu... A polskie opracowanie dźwiękowe pomaga mu, jak może. Nie wiem, czyją zasługą są te potworne dialogi: włoskiego scenarzysty, czy aktorów naszego dubbingu. Zrobiono je w dodatku w sposób perfidny: chyba trzecią część słów padających z ekranu stanowią przywitania i pożegnania. Bez przerwy słyszymy: ciao Mara, ciao Bube, ciao mamusiu, ciao tato. Po kilkunastu minutach takiej zabawy widz ma ochotę krzyknąć „ciao" opuścić salę kinową wbrew dobrym zwyczajom savoir-vivre'u. Ale choć nie wiadomo, czy grzechami opracowania dialogu bardziej należy obciążyć polskich czy włoskich twórców, nie ulega wątpliwości fakt, że nasi od dubbingu nie napracowali się zbytnio — ani autorzy, ani wykonawcy. Na podstawie „Jego dziewczyny" można by napisać studium pt. „Jak chałturzyć w dubbingu?" — Ale nie czas żałować róż, gdy płoną lasy. Film o parze włoskich prostaczków żyjących nędznie lecz bogatych duchem, przykrojony został na miarę ćwierćinteligentów. Bogactwo ducha założono oczywiście w schemacie. I na schemacie poprzestano. Między jednym a drugim „ciao" jest tak mało czasu, że nie ma miejsca na głębszą motywację psychologiczną. Toteż para jakże sympatycznych, autentycznych i popularnych we Włoszech postaci z ludu — partyzanta Bube i jego dziewczyny Mary stała się w filmie parą nudziarzy — sztucznych, uproszczonych i upraszczających, natretnie moralizatorskich. Owo wulgarne moralizatorstwo filmu spod wezwania: dobro uciemiężone, czyli jak miłość wszystko zwycięża — doprowadziło właśnie do powstania dramatu naiwnego, nazbyt oczywistego i schematycznego, przypominającego naszej kinematografii niezbyt dobre tradycje początku lat pięćdziesiątych. W treści i formie. A przecież my chcielibyśmy już zapomnieć... „Jego dziewczyna" to z pewnością nie nasza dziewczyna. Spóźniła się więcej niż dziesięć lat.

MARIAREL

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

SMIERĆ ZNANEGO REŻYSERA TEATRALNEGO

■ W wieku lat siedem dziesięciu trzech zmarł wybitny reżyser niemiecki Erwin Piscator. W roku 1933 opuścił Niemcy, wyjeżdżając do Moskwy. Przebywał następnie w Paryżu, potem w Nowym Jorku. Do Niemiec wrócił w roku 1951. Erwin Piscator był reformatorem teatru i twórca najbardziej oryginalnego współczesnego stylu teatralnego.

SZCZĘŚLIWE ŁATA

■ Ostatnio telewizja francuska nadała widowisko oparte na wspomnieniach napisanych przez Odette Joyeux, byłą baletnicę. W widowisku Odette Joyeux i jej mąż, reżyser Philippe Agostini starali się pokazać trudne lata zdobywania przez dziewczęta zawodu baletnicy. „Szczęśliwe lata" — to tytuł nieco ironiczny, bo choć były to lata dzieciństwa i wczesnej młodości Odette, choć uwieńczone następnie sukcesami na scenie, były także latami wielkiego wieloletniego wysiłku, trudnych i męczących ćwiczeń. W telewizyjnej audycji dziewczęta pokazano zarówno podczas szkolnych zajęć jak i w plenerze (gdzie Odette wraz z koleżankami uciekała na wagary) a nawet na dachu Opery, bo kiedyś adeptkom tańca przyszło do głowy bieganie po dachu budynku.

W „Szczęśliwych latach" postać Odette Joyeux gra jej córka Jocelyne, która podobnie jak matka kształci się na baletnicę. W widowisku Jocelyne wciela się więc w postać własnej mamy z jej lat dziewczęcych. Odette zaś twierdzi, że patrząc na grę swej córki ma wrażenie, że została matką samej siebie.

STRADIVARIUS ODNALEZIONY NA STRYCHU

■ Stradivari — to nazwa rodu włoskich lutników w Cremonie, słynnych z doskonałej jakości wyrabianych przez nich instrumentów. Za najlepszego budowniczego skrzypiec uchodzi po dziś dzień Antonio Stradivari (1644—1737). Światowa kolekcja instrumentów pochodzących z pracowni Stradivari liczy dziś około tysiąca sztuk. Ostatnio odnaleziono jeszcze jedne skrzypce słynnego lutnika.

Pewien mieszkaniec miasteczka w południowo — zachodniej części Turcji, z zawodu krawiec, kupił czterdzieści lat temu za grosze skrzypce od jakiejś kobiety na rynku. Wróciwszy do domu rzucił je na strych. Dopiero kilka miesięcy temu, ów krawiec, szukając czegoś na strychu natknął się na zapomniany instrument. Skrzypce po oczyszczeniu z kurzu wyglądały jak nowe, a struny wydawały czysty dźwięk, mimo że instrument przeleżał wiele lat nie chroniony od wilgoci.

Ankarskie konserwatorium zainteresowało się skrzypcami. Znaleziono w środku napis: „Antonio Stradivari K. F. 1735 A. S." Analiza lakieru i drewna wykazała ponad wszelką wątpliwość, że skrzypce wyszły z pracowni słynnego lutnika. Obecnie instrument przechowywany jest w muzeum ankarskiego konserwatorium.

DOWCIPNY SZOFER

■ Pierre Brasseur, który kręci w Izraelu film pt. „Dziewczyna znad Morza Martwego" pisał niedawno w liście do jednego z przyjaciół: „W Tel-Awiwie szofer taksówki spytał mnie: „Co chce pan oglądać, kobiety czy arcydzieła sztuki?" I jedno i drugie, odpowiedziałem. Wobec tego zawiózł mnie do muzeum sztuki nowoczesnej, gdzie jest właśnie wystawa „Kobiety" Picassa."

PIERWSZA ENCYKLOPEDIA FILMOWA NA ŚWIECIE

■ W serii wydawnictwa Larousse'a ukaże się niebawem pierwsza na świecie encyklopedia filmowa. Znajdą się tu wiadomości o organizacji filmu, technice, filmie fabularnym, dokumentalnym, naukowym, amatorskim itd. Encyklopedia zawierać będzie informacje o tysiącu najlepszych filmów powstałych w latach od 1895 do 1965. Książka będzie bogato ilustrowana.

KRADZIEŻ RZEŹBY

■ Rzeźbiarze w Genewie wystawiają zazwyczaj na jednym z placów miasta swe ostatnie rzeźby. Pewnego dnia jeden z artystów, Pierre Neri spostrzegł, że jego rzeźba, figurka z brązu, zniknęła. Skradziono ją mimo że była solidnie przytwierdzona do podstawy i ważyła 30 kilogramów. Jej wartość wynosiła 3.000 franków.

CHAKA, CZARNY WOJOWNIK

■ Roger Kahane, który realizował dla telewizji francuskiej widowisko „Joanna d'Arc na stosie", przygotował teraz nowe widowisko, będące podobnie jak i tamto rodzajem oratorium i baletu. Tym razem jest to opracowanie poematu pt. „Chaka". Tę epopeję napisał Léopold Sédar Senghor, poeta i prezydent Senegalu. Urodził się 9 października 1906 roku w Joal (w Senegalu). Studiował w Paryżu, a następnie został nauczycielem języków klasycznych we Francji. Po roku 1945 był przedstawicielem Senegalu we francuskim Zgromadzeniu Narodowym. W roku 1959 pełnił funkcję prezydenta parlamentu Federacji Mali, a od roku 1960 jest prezydentem republiki Senegal. Swą twórczością poetycką oraz pracami teoretycznymi wywarł ogromny wpływ na literaturę obszaru języka francuskiego w Afryce. Publikował wiersze, poematy, antologie poetyckie oraz prace dotyczące zagadnień estetyki np. „Language et poésie négro — africaine". (Język i poezja negro — afrykańska), „Esthétique négro africaine" (Negro — afrykańska estetyka). Jego twórczość poetycka, często intelektualna, zawierająca myśli filozoficzne wyraża afrykańskie dążenia wolnościowe. Senghor w swych wierszach i poematach wspomina wydarzenia z historii dawnych państw afrykańskich. Takim właśnie nawiązaniem do historii ludów Afryki jest jego poemat o czarnym wojowniku Chaka, którego postać jest w Europie prawie nieznana. W Afryce zaś imię Chaka jest tak znane jak u nas np. Karola Wielkiego czy Napoleona. Chaka żył w czasach napoleońskich. Przed spenetrowaniem lądu afrykańskiego przez Europejczyków wódz Chaka panował nad znaczną częścią południa afrykańskiego. Armia Chaki pod koniec jego panowania, dobrze zorganizowana i zdyscyplinowana liczyła około 400.000 wojowników. Wódz, Chaka, został następnie zdradzony przez swoich i stracony.

Poemat Senghora jest hymnem na cześć wolności, niepodległości i pokoju. Roger Kahane zaś ukazał piękno poematu połączywszy w widowisku elementy recytacji, baletu oraz zdjęć krajobrazu.

W widowisku występują czarni aktorzy senegalscy wśród nich, w roli głównej, sławny Bachir Touré. Widowisko zostało sfilmowane, najpierw nadała je telewizja francuska, a następnie film przesłano do Dakaru, gdzie odbywa się pierwszy Festiwal Sztuki Murzyńskiej.

IZOLDA Z MAŁEJ SZWEDZKIEJ WIOSKI

■ W Paryżu ogromnym powodzeniem cieszą się występy Birgit Nilsson jako Izoldy w operze wagnerowskiej.

Birgit urodziła się w małej wiosce w Szwecji jako jedyna córka tamtejszego drobnego farmera. Ma żelazne zdrowie upór w pracy i dużo praktycyzmu. Pewnemu tenorowi, który narzekał, że czuje się chory, odpowiedziała: „Dla cierpiącego śpiewaka najlepszym lekarstwem jest pojawienie się na scenie jego rywala".

Birgit Nilsson śpiewała początkowo na chłopskich weselach, pierwszy raz wyróżniła się, gdy stanęła do konkursu organizowanego przez królewską akademię w Sztokholmie. Wybierano spośród 48 kandydatek dwie śpiewaczki. Jedną z nich była Nilsson. Kiedy miała dwadzieścia lat zastąpiła w „Wolnym strzelcu" chorą koleżankę. To był początek jej błyskawicznej kariery. Już wkrótce Birgit Nilsson stała się międzynarodową sławą. Występuje głównie w operach Wagnera. Ogromnym powodzeniem cieszyły się jej występy w Rzymie, Mediolanie, Wiedniu i Lizbonie.

NAJMŁODSZA POETKA

■ Karin Kirstinsé, trzyletnia Finlandka, opublikowała swój pierwszy zbiorek poetycki. Nie napisała go, ponieważ jeszcze nie umie czytać ani pisać, ale podyktowała swoje wierszyki mamie, która je zanotowała.

ENCYKLOPEDIA MUZYCZNA

■ W wydawnictwie Larousse'a ukazała się dwutomowa encyklopedia muzyczna. Encyklopedia ma 792 stronice, oraz liczne kolorowe i czarno-białe ilustracje. Zawiera informacje o muzykach, instrumentach i dziełach muzycznych.

STO TYSIĘCY FRANCUSKICH POETÓW

■ „Poezja we Francji — pisze Rene Lacote w tygodniku „L' Humanité Dimanche" — stała się ruchem masowym."

Przeglądając numery pisma „Nouvelle Critique" Lacote obliczył z grubsza, że istnieje w tej chwili od 20.000 do 50.000 poetów piszących w języku francuskim. Nie jest to jednak liczba pełna. Prawdziwa liczba poetów wynosi prawdopodobnie 100.000 gdy się uwzględni grupy poetów żyjących w innych miastach i drukujących w około dwustu pismach periodycznych.

W Belgii naliczono 10.000 poetów na 4 miliony ludności mówiącej po francusku.

Ciekawym zjawiskiem jest ogromna popularność niektórych poetów, zwłaszcza tych, którzy już od jakiegoś czasu są czytani i uznawani. Charakterystyczne zjawisko wystąpiło zwłaszcza wtedy, gdy zaczęto wydawać poezje w formie książek kieszonkowych (livre de poche). I tak np. wiersze Paula Eluarda w ciągu pierwszych miesięcy wydania ich jako książki kieszonkowe zdobyły sobie znacznie więcej czytelników niż poprzednio przez 40 lat, wydawane sposobem tradycyjnym. Innym ciekawym zjawiskiem zaobserwowanym we Francji jest to, że pisma poświęcone wyłącznie drukowaniu poezji nie cieszą się zbytnią poczytnością. I tak np. przegląd „Mercure de France" zajmujący się specjalnie wyszukiwaniem młodych zdolnych poetów i drukujący nowoczesną poezję przestał wychodzić, gdyż miał zaledwie... 500 czytelników.

Każdego roku pojawiają się nowe kadry poetów. Niestety, wbrew nieraz złudnym nadziejom adeptów tej sztuki, najzdolniejsi nawet muszą pracować i czekać przeciętnie ćwierć wieku, aby wreszcie zdobyć sobie uznanie szerszego kręgu miłośników poezji. Jak wspomnieliśmy, aktywność poetycka stała się we Francji aktywnością masową, co w rezultacie sprawiło, że poeta przestał być kimś wyjątkowym, dla którego ludzie dawniej żywili specjalny szacunek. Wielu młodych poetów nie chce tego zrozumieć. Czują się więc niedocenieni i rozgoryczeni.

Młody poeta...

w natychnieniu twórczym...

w podziwie dla własnego geniuszu...

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

W przededniu małego jubileuszu (25 „Notatnik Kulturalny" w redakcji niżej podpisanego) wypada sięgnąć wzrokiem wstecz i dokonać czegoś w rodzaju podsumowania.

Cóż, zwiedziło się sporą ilość większych i mniejszych instytucji oraz przybytków kultury, obejrzało wiele imprez na różnym szczeblu i poziomie, uczestniczyło w naradach i konferencjach prasowych. Problematyka zróżnicowana i jeżeli artystycznie nie zawsze reprezentatywna, to społecznie przeważnie ważka.

Cóż, nie wszystkie przejawy życia kulturalnego w Łódzkiem znalazły odbicie w „Notatniku", a odnotowane nie zawsze były wystarczająco rozwinięte, czego przyczyny leżą po części w emocjonalnym zaangażowaniu redagującego, a po części w konieczności mieszczenia się w ramach określonych szczupłymi szpaltami pisma.

WTOREK

Tym większa więc radość, (jubileuszowa), że „Notatnik" zdobywa sobie coraz liczniejsze rzesze czytelników, a nawet wielbicieli. (!!) Przecież to jest sukces nie byle jaki, że „Wykrzykniki" (!!) p. Mirosława Malcharka organ, bogato zdobiony (i pięknie) w stołecznym piśmie „Współczesność", że organ ten pt. !! gorąco i uparcie zajmuje się „Notatnikiem".

Nie ma co dalej kluczyć i stylizować. Trzeba zwyczajnie i po prostu powiedzieć: p. Mirosław Malcharek interesuje się moją skromną osobą łaskawie — czytuje skrupulatnie wszystko, począwszy od felietonów, a skończywszy na reportażach i daje temu niedwuznaczny (a może dwuznaczny?) wyraz w swoim organie.

P. Mirosław Malcharek posiada bardzo piękny organ i posługuje się nim różnorodnie. Najczęściej jednak wyrwane (z prasy) wypowiedzi lub fragmenty opatruje inteligentnym i dowcipnym komentarzem. Niekiedy bywa to tylko: ... (Ale my wiemy co znaczy wielokropek).

Niekiedy bywa to tylko jedno zdanie, ale jakże błyskotliwe. Na przykład — przedstawiając poetę Jerzego S. Sito jako aktywistę i, po egzaminie, selekcjonera Polskiego Związku Łowieckiego — p. Mirosław Malcharek pointuje: Egzamin wypadł pomyślnie. Jerzy S. Sito przystępuje do nowych zadań pamiętając o haśle: „Selekcjoner-gentleman zaczyna od siebie".

No proszę; eleganckie, dowcipne — współczesne a zarazem sarmackie.

Więc właśnie — szczycę się tym, nie bez kozery — sam p. Mirosław Malcharek czytuje mnie pilnie, krótko lecz zręcznie komentuje, a nawet (!!) nazywa stylistą i filozofem.

ŚRODA

„Pstrąg", to dobre. Ambitny i sympatyczny zespół ma na swoim „koncie" wiele ciekawych spektakli.

O festiwalowym tournée zespołu po Francji i Belgii wspominałem swego czasu nie bez ukontentowania.

Tymczasem (do 18 kwietnia br.) „Pstrąg" zajmuje się „Podróżami Guliwera". Historyczna satyra Swifta (Anglia w. XVIII) w adaptacji Ryszarda Czubaczyńskiego nie daje wprawdzie wiele materiału do wyszukiwania politycznych analogii z w. XX, niemniej jednak, dzięki dobrej reżyserii (Piotr Hertel), „bajecznej" i dowcipnej scenografii (Jerzy Groszang) oraz muzyce (Witold Afelt i Piotr Marczewski), spektakl uwodzi świeżością i wdziękiem.

CZWARTEK

„Holiday on Ice", Szeroko reklamowana, „Międzynarodowa Rewia na Lodzie" znalazła widzów, entuzjastów i recenzentów.

Lubię taniec, dekoracje, stroje — młodość i brawurę. Mam jednakże uraz łyżwiarski: jako 14-letnie chłopię miałem wystąpić w finałach konkursu tańca na lodzie dla młodocianych par. Trenowaliśmy w przeddzień występu z śliczną, złotowłosą dziewuszką. Wszystko szło dobrze, aż nagle... odleciała mi łyżwa (na korbkę przykręcana). Usunąłem defekt, lecz po paru taktach łyżwa odpadła powtórnie. Po którymś tam razie partnerka rozpłakała się i uciekła — w objęcia mojego najgroźniejszego rywala. Nigdy mu tego nie zapomnę, a jej nie przebaczę.

Mam uraz, więc nie byłem na rewii i z tego powodu nie przyłączę głosu do zaczarowanego chóru.

PIĄTEK

Miejski Zarząd Kin w Łodzi organizuje w okresie od 16. IV. do 15. V. br. w trzech kinach „Przegląd Polskich Filmów Dziecięcych i Młodzieżowych".

Z ciekawszych filmów wymienić należy: „Pierścień z bajki", „Kwartecik", „Kariera", „Maluch", a także nowe odcinki popularnych serii „Zaczarowany ołówek", „Przygody gapiszona". Te filmy są przeznaczone dla najmłodszej widowni. Cena biletu 2,50 zł.

Filmy: — „O dwóch takich co ukradli księżyc", „Awantura o Basię", „Panienka z okienka", „Historia żółtej ciżemki", „Szatan z siódmej klasy".

To dla starszych — od 7 do 12 lat.

Będzie także coś dla młodzieży, ale tytuły młodzież znajdzie już sama, gdzie trzeba i jak należy.

Podaję te informacje raczej rodzicom pod rozwagę, sam mając błogą nadzieję, że uda mi się pokumotersku dostać bilet na „Przygody gapiszona".

Kończę, bo „naczelny" dziwnie na mnie jakoś patrzy.

SOBOTA

„Holiday...! Tfu, co się dzieje?! Człowiek przemęczony, czas by gdzieś na jakieś wakacje...

Leży przede mną Biuletyn Związku Literatów Polskich nr 1 1966. Zarządy, komisje, sekcje, sąd koleżeński — robota, Huk. (Huk roboty).

Popisy recytatorów za pasem. (To takie potoczne powiedzonko — zapasem)!!

Może by tak wyjechać gdzie na niedzielę?

NIEDZIELA

Jestem w Warszawie. Wszystkim mieszkańcom miasta Łodzi ślę pozdrowienia. Wtargnąłem do teatru „Kameralnego", Mieli grać (stało w gazecie) „Noce Iguany" Williamsa, a wystawiają „On i ona". Autor Aldo Nicolaj nie jest temu winien, że pokazują jego sztukę zamiast czegoś innego. Aktorzy (Wyrzykowski i Kreczmarowa) robią więcej niż więcej. Coś tu nie gra; dużo miejsc siedzących.

T. Żeleńska

POLONICA

O WITKACYM

Znany tłumacz z literatury polskiej na niemiecki, dr Heinrich Kunstmann, wydał ostatnio książkę pt. „MODERNE POLNISCHE DRAMMATIK" w której aż dwa rozdziały poświęcił on dramaturgii Witkacego. Nadto tenże sam Heinrich Kunstmann przełożył „Kurkę wodną" oraz „Wariata i zakonnicę" Stanisława Ignacego Witkiewicza i ogłosił je łącznie w ładnie wydanym tomie u Suhrkampa we Frankfurcie nad Menem. Witkacy, odkryty późno dla Zachodu, staje się tam prawdziwą rewelacją. Entuzjastyczną recenzję o obu tych sztukach przeczytaliśmy ostatnio w dzienniku wiedeńskim „Die Volksstimme" (26. II. br.).

O BOHATERCE FILMU „ROZWODÓW NIE BĘDZIE" PISZE RADZIECKI KRYTYK

W związku z wejściem na nasze ekrany filmu „Rozwodów nie będzie", „Sowieckaja Kultura" w swym 24 numerze zamieściła zdjęcie i notatkę o naszej nowej gwiazdce — Magdzie Zawadzkiej, która gra w tym filmie główną rolę. Radziecki krytyk, pisząc o talencie naszej aktorki, z przekonaniem twierdzi, że Zawadzka w chwili obecnej może zagrać w każdym filmie, traktującym o współczesnej młodzieży. Prognoza, jak się wydaje słuszna, bowiem Zawadzka jest dopiero studentką III roku Wyższej Szkoły Teatralnej i Filmowej w Warszawie, a już zdążyła wystąpić w pięciu filmach.

Na zakończenie autor notatki cytuje opinię naszego „Ekranu"; „Wkrótce Magda Zawadzka znajdzie się w czołówce naszych najlepszych aktorek".

Jak z tego wynika w naszej kinematografii zaczęła się ofensywa młodych — i trzeba przyznać, że z powodzeniem. (ei)

POLSKA DLA TURYSTÓW

W 58 numerze czasopisma „Polen in Wort und Bild" (marzec), wydawanego przez Tow. Austriacko-Polskie w Wiedniu, poświęcono sporo miejsca Polsce jako krajowi możliwości turystycznych. Numer, bogato ilustrowany, zawiera wywiady z dyrektorem „Orbisu", z przedstawicielem „Lot", z dyrektorem departamentu dla spraw turystyki mgr Ostrowskim oraz szczegółowy opis atrakcji turystycznych nad morzem, na Mazurach, w Krakowie, Wrocławiu, w Karpatach i Karkonoszach, a także w Białowieży, Wielkopolsce, no i oczywiście Warszawie. Pismo publikuje na rozkładówce mapę turystyczną Polski oraz podaje połączenia autobusowe, możliwości noclegowe itp. Poszczególne artykuły poświęcone są możliwościom wymiany turystycznej między Austrią i Polską. Pożyteczny numer pożytecznego pisma.

ORATORIUM KRZYSZTOFA PENDERECKIEGO

Prawykonanie w katedrze w Münster (NRF) „Oratorium" Krzysztofa Pendereckiego stało się wydarzeniem muzycznym na skalę europejską. Wiele pism codziennych i periodycznych poświęciło temu utworowi i kompozytorowi polskiemu obszerne omówienia i artykuły. Cytujemy fragment artykułu z „Die Welt" (4 kwietnia br.): „Krzysztof Penderecki jest nie tylko jednym z najzdolniejszych kompozytorów młodego pokolenia (32 lata) w Polsce, lecz może być uważany za wybitną osobowość artystyczną nowej muzyki w ogóle. Nie jest przedstawicielem żadnej szkoły, nie krępuje go żadna doktryna, nie cechuje wąska jednostronność. Używa on w swoich kompozycjach różnych środków i wyprowadza z nich własny wspaniały styl".

DOBRY POCZĄTEK

W Wiedniu zaczął ukazywać się nowy miesięcznik literacki pn. „Literatur und Kritik". Przyjemnie jest nam odnotować, że już w pierwszym numerze tego pisma (z kwietnia) znajdujemy dwie pozycje polskich autorów. W dziale poezji pięć wierszy Zbigniewa Herberta w przekładach Carla Dedeciusa, zaś w dziale recenzji i felietonów — wypowiedź Stefana Kisielewskiego pt. „Ein Wort über mein Land" (Słowo o moim kraju). Kisielewski z właściwym sobie temperamentem wypowiada się w tym artykule za niestronieniem intelektualistów od polityki, zwłaszcza w Polsce, gdzie tradycja literatury zaangażowanej była i jest wciąż żywa i aktualna.

POLONICA

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

Sławny Pigott — brylant należący niegdyś do barona Pigot, gubernatora Madrasu przez długie lata nie przynosił swym właścicielom szczęścia: Pigot umarł w więzieniu, oskarżony o grabież dokonaną pod pokrywką owej wysokiej funkcji państwowej. Brylant przeszedł następnie na własność Ali Paszy, wielkorządcy Albanii, lecz sułtan turecki postanowił pozbawić swego wiernego sługi zarazem i klejnotu, i młodej, niezwykle pięknej żony Wasyliki. Ali Pasza, już 80-letni, nie mógł bronić swych skarbów, lepiej od niego uczynił to awanturnik i łowca przygód, niejaki kapitan D'Auglas, który z piękną Wasylika i jej klejnotami zbiegł na zachód, żył długie lata w luksusie i stał się ponoć wzorem dla postaci hrabiego Monte Christo.

W grudniu 1962 roku pokojówka sprzątająca pewien apartament w Hotelu Metropol w Paryżu ujrzała na półce w szafie bardzo apetyczne jabłka. Wzięła jedno z nich — zeznała o tym płacząc ze wstydu — ugryzła, i złamała ząb na brylancie wartości 500.000 dolarów. Bowiem taką kryjówkę dla skradzionego łupu wymyślił Leon Kauffer, który ograbił skarbiec księcia d'Aumale. W czasie rozprawy sądowej złodziej bronił się dość niezwykle, twierdził mianowicie, że zamierzał te bezużytecznie przechowywane od pokoleń skarby sprzedać a pieniądze przekazać na cele filantropijne.

Najdziwniejsza kradzież biżuterii zdarzyła się w 1959 roku w Londynie. Gang włamywaczy-specjalistów ograbił wówczas sklep spółki jubilerskiej Goldsmith na Picadilly. W mistrzowsko otwartym safesie złodzieje znaleźli nie tylko bogaty łup, wartości przeszło 100.000 dolarów, ale i klucze do innego sklepu tej spółki. Natychmiast więc ograbili i ten drugi sklep, uwożąc zeń z biżuteria wartości 120.000 dolarów — klucze do sklepu numer 3. W tym trzecim salonie jubilerskim łup ich okazał się skromniejszy — ledwie 28.000 dolarów. Policja natomiast mogła odnotować w swych kronikach wypadek zupełnie wyjątkowej, łańcuszkowej kradzieży, sprawcy nie zostali zresztą ujęci.

Generał Le Van Vien, członek kliki sajgońskiej, znany międzynarodowej policji ze swych wyczynów (kidnaperstwo, rozbój, szmugiel narkotyków, przemyt) w roku 1957 został obrabowany przez jednego ze swych dawnych wspólników, który włamał się do paryskiej willi „generała" i skradł brylanty jego żony, ocenione na 285.000 dolarów. Pani Le Van Vien zgłosiła kradzież na policji, ale jej mąż czym prędzej całą sprawę zatuszował. „To drobna i błaha strata" — powiedział zdumionym reporterom. Jeden z nich wywęszył jednak prawdę: brylanty pani „generałowej" pochodziły również z głośnych swego czasu kradzieży.

Najkrwawsza historię spośród wszystkich brylantów ma Kohinoor, zdobiący od 1849 roku insygnia tronowe korony brytyjskiej. Walczyły o niego pokolenia władców Indii od XVI wieku — i powstała nawet legenda, iż każdy kto go posiądzie, zginie z ręki skrytobójcy. Królowa Wiktoria nie była jednak zabobonna i po ograbieniu przez Brytyjczyków Królestwa Punjabu, przyjęła brylant jako dar od swego ekspedycyjnego korpusu, nakazała go przeszlifować (zresztą w złym guście) i beztrosko udowodniła, iż krwawa legenda jest tylko legendą.

Klejnoty brytyjskiej korony, wystawione na widok publiczny w Tower, strzeżone są oczywiście z największą uwagą. A przecież raz już były skradzione. W roku 1671 niejaki kapitan Thomas Blood z grupą takich jak on samych straceńców zdołał je porwać i usiłując zbiec, ujęty został przez straż pałacową dopiero za murami Tower. Był to zresztą notoryczny przestępca — i tym większe zdumienie wywołał fakt, iż król wkrótce ułaskawił go i zwolnił z więzienia. Dopiero wścibscy historycy wykryli tajemnicę tej afery: to Karol II, tonąc w długach, był inspiratorem kradzieży własnych klejnotów koronnych.

Dario Sambucco posługujący się pseudonimem Dante Spada i tytułem hrabiowskim, był akrobatą i jego kradzieże brylantów dokonywane latem 1950 r. na francuskiej Riwierze uznane zostały za „niemożliwe" do zrealizowania, to znaczy iż zarówno prokurator jak i policja nie chcieli uwierzyć w opis ich przebiegu. Sambucco nigdy nie zostawił odcisków palców, nigdy nie wyłamał żadnego zamku, nigdy nie zbudził śpiącej osoby w pokoju, w którym dokonywał kradzieży. Całym jego ekwipunkiem był elegancki, oprawny w srebro, scyzoryk o dwóch ostrzach. Został aresztowany w momencie, gdy z kocią zręcznością biegł po szczycie płotu willi Eden nad Zatoką Nicejską. I wtedy oświadczywszy, że zmęczył go już ten niebezpieczny zawód zeznał wszystko nie podając oczywiście miejsca, gdzie ukrył skradzione klejnoty wartości setek tysięcy dolarów. Osadzony w więzieniu w Milano, Sambucco przeczytał recenzję z filmu Hitchcocka „Złodziej w hotelu" i wpadł w niebywałą wściekłość. Przez dłuższy czas czynił też zabiegi by wytoczyć realizatorom proces o coś w rodzaju plagiatu, twierdząc, że film nie miał prawa realistycznie przedstawiać jego metod działania.

Warto przy tej okazji wspomnieć, że scenarzystą „Złodzieja w hotelu" David Dodge sam był posądzony o kradzieże brylantów, ponieważ w czasie gdy pisał scenariusz dokonano w sąsiedniej willi przestępstwa, którego ofiarą padły brylanty wartości około 250 tysięcy dolarów, a złodziej posługiwał się właśnie takimi metodami jakie w swoim scenariuszu Dodge opisał.

Największym „złodziejem" brylantów był chyba car Mikołaj I. Marzył on o zdobyciu słynnego brylantu Shah (887,7 karatów) zdobiącego perski skarbiec koronny. Gdy propozycja kupna została odrzucona, Mikołaj I zainspirował rozruchy w Teheranie, w czasie których zginęło paru Rosjan. Wtedy, zagroziwszy Persji wojną łaskawie zdecydował się przyjąć ów słynny brylant jako odszkodowanie.

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

Lewym okiem

JAK UCZĘSZCZAĆ DAMĘ W GOTOWALNI?

Skoro już nie tylko wszystkie po kolei rubryki naszego macierzystego tygodnika, ale i stołecznych czasopism łamy i fale krótkie, średnie i długie i telewizja — nie mówiąc o ostrych ołówkach legionu naszych rysowników humorystycznych — skwitowały radośnie i pikantnie pojawienie się wiosny, pory kwiatów i kochania, niech nie zabraknie w tym chórze i Cwieka, nie całkiem — jak widzicie — zgorzkniałego. Lewym okiem też widać wiosnę, pod lewe oko też ciśnie się temat płochy, rzewny, filuterny. Może by tak coś o tych rzeczach?...

Jaśnie Oświecony Książę Udalryk Radziwiłł, „xiąg uczonych amator, przedziwnej elokwencyi orator, wynalazca ulepszoney, litewskiey, prawdziwie fonetyczney ortografii", tak dwieście lat temu pisał (a Władysław Konopczyński przed laty czterdziestu pięciu opublikował):

„Nietrzeba być próżnującym w kochaniu, upraszać Damy, by mógł w tym naypierwszy otrzymać favor, by miał od niey pozwolenie osobne, gdzie do rozmówienia się zeyście się, by mógł pisywać do swojey Damy, y jakby mógł adressować swe listy, y w jaki sposób z nią utrzymywać korrespondencyją u nie brać wstrętu z jey milczenia y z jey niepodpisywania, wszędy się znaydować, gdziebysiękolwiek pokazała, czyli na kompanii, czyli na Operze, Komedyi, czyliby gdzię na szpacjer pojechała".

Panowie podrywacze, słuchajcie:

„...bydź trzeba grzecznym, zachować Manjerę, Politykę, nowe a zawsze inaksze wynaydywać w rozmowach myśli, postępowania, bydź trzeba w Konwersacyi zabawnym; póży od Damy nie odstępować, póki się z sobą nie umówią o drugim z sobą sam na sam widzeniu się, a nakoniec odchodząc od Damy, trzeba w nią się wpatrywać a zważać, jakie są w niey Passyi poruszenia".

Z tym wpatrywaniem się to już dziś trochę niemodne. Jeszcze by dama pomyślała, że brwi ma krzywo namalowane, albo rzęsy się odkleiły, albo szminka zjedzoną. Odchodzimy więc nie zważając, jakie są pasji poruszenia. Cóż jeszcze radzi nam uczony książę?

„Uczęszczać swą Damę w jey gotowalni, przy jey ubieraniu się, wychwalać tam jey śliczności, tam to jest mieysce nayprzyzwoitsze do czynienia jey pochwał".

Nic z tego. Damy w gotowalni przebywają rano, przed wyjściem do pracy, w porze, kiedy Kawalerowie golą się pośpiesznie, śpiąc na jedno oko, pakują do teczki bułki z serem i lecą do tramwaju. Jakże tedy uczęszczać i śliczności wychwalać?

„Wiersze są także pożyteczne w miłości, Galant y człek grzeczny powinien się dystyngwować w Poezyi".

Jeden jedyny raz zacząłem pewnej damie recytować wiersze ze „Współczesności". Od razu nastrój diabli wzięli i trzeba było prędko otwierać drugą ratafię. Natomiast w pełni aktualna okazuje się rada następna:

„Śpiewać y tańcować trzeba ze swoją Damą, profitować z naymnieyszy okoliczności, by Damie mógł oświadczyć, że ją kocha. Dla lepszego wrażenia swey Damie swoich sentymentów trzeba się hazardować podarunkami jakiemi Damę znjewolić, y to wyborne upominki".

Niestety, tańcowanie nastręcza niejakich trudności kawalerom o dłuższym stażu życiowym, odkąd polega na ryzykownym wykręcaniu kończyn w pozycji przysiadu z podskokiem. Jakiej to kondycji wymaga! Niedomogi w tym kierunku na szczęście łatwo wyrównać mogą owe „wyborne upominki", a mamy przecież sklepy MHD z upominkami, mamy broszki z kości wołowej, ciupagi, korale z zacierek, mamy kwiaty z podatkiem od luksusu, więc cenne. Trudno, trzeba się hazardować. Za to

„Kawaler postrzeże snadno, jakie są progressa jego nad sercem swey Piękney. Odmówienia Faworów, czyli zbranianja się Damy nic wtedy innego nie są, tylko pozory".

Wtedy, proszę panów, jedziemy na wczasy, zupełnie jak dwieście lat temu; albowiem — —

„na Wsi jest mieszkanie prawdziwych pociech y rozkoszy, profitować tam trzeba z owey wolności użycia rozkoszy, w których tam łacno opływać można, y żeby się już kochana Damz zadała, trzeba jey odkryć wszystkie swe żądania, zbijać dowodnie wszystkie jey uprzedzenia, exkuzy, zbranianja się, odważyć się śmiało na wszystkie przedsięwzięcia, profitować z jey pomieszania, opływać w satysfakcyi używania delicyi y ukontentowania".

No i proszę, do jakich to rozmyślań skłaniają stare, ograne rekwizyty wiosenne tak poważnego i statecznego człowieka, jak

CWIEK...

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 86. Tel. 144-73. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 1058. IV.66. E-2